

JESTEŚMY

DWUMIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŚLĄSKA I ZAGŁĘBIA REDAGOWANY W POROZUMIENIU I ŁĄCZNOŚCI Z RKW NSZZ "SOLIDARNOŚĆ" REGIONU ŚLĄSKO-DĄBROWSKIEGO

■ Publicystyka ■ Reportaże ■ Relacje ■ Twórczość niezależnych pisarzy i poetów ■ Dokumenty ■ Komentarze ■ Kronika aktualnych wydarzeń ■ Stały przegląd prasy i wydawnictw ■ Noty ■ Listy ■ Satyra i humor ■ Wszystko - o czym pisać nie wolno, a o czym pisać trzeba ■ Bez censury, bez knebla ■

W NUMERZE:

- To referendum - SUKCES CZY KLĘSKA?
- Relacja spod krzyża, czyli MY GRUDZIEŃ PAMIĘTAMY...
- Rozmowa z Kazimierzem Switonem - w 10 rocznicę powstania Komitetu Wolnych Związków Zawodowych - 23.11.1978 - 23.11.1988
- NOWE WIECZESZ Kazimierza J. Węgrzyna
- Opowiadanie Marka Nowakowskiego "SYBIR"
- Szkic Andrzeja Sągta o Herbercie pt. "OCALONY UMYŚŁ"
- DWA SPOTKANIA: na Karolkowej i na zaproszenie Lecha Wałęsy /polecamy!/
• PPS - nowa inicjatywa polityczna - CZY ZYSKA POPARCIE SPOŁECZEŃSTWA?
- A. Benkid: W stronę południowych sąsiadów.
Słowem - ZAOLZIE

POZA TYM: Informacja o uhonorowaniu Jana Andrzeja Górnego • Nagrody Śląsko-dąbrowskiego Komitetu Kultury Niezależnej za rok 1987 /przyznane po raz pierwszy/ • Białe plamy • Markotyki - ściągka nowiocka • Krasnoludki są na świecie, czyli o bardzo dobrych pomysłach, które zrodziły się we Wrocławiu • "Video - 3" • oraz stałe pozycje: Komentatora, Kronikarza i Lektora •

OFICyna ŚLĄSKA

● NR I (16) ● KATOWICE ● styczeń - luty ● ● 1988 ●

JESTEŚMY

DWUMIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŚLĄSKA I ZAGŁĘBIA REDAGOWANY W POROZUMIENIU I ŁĄCZNOŚCI Z RKW NSZZ "SOLIDARNOŚĆ" REGIONU ŚLĄSKO-DĄBROWSKIEGO

■ Publicystyka ■ Reportaże ■ Relacje ■ Twórczość niezależnych pisarzy i poetów ■ Dokumenty ■ Komentarze ■ Kronika aktualnych wydarzeń ■ Stały przegląd prasy i wydawnictw ■ Nowy ■ Listy ■ Satyra i humor ■ Wszystko - o czym pisać nie wolno, a o czym pisać trzeba ■ Bez censury, bez knebla ■

OFICyna ŚLĄSKA

● NR I (16) ● KATOWICE ● styczeń - luty ● 1988 ●

SPIS TREŚCI:

• Po referendum - SUKCES CZY KŁĘSKA?	B. 3
• MY GRUDZIEŃ PAMIĘTAMY...	" 4
• Albin Siwacki: O "WUJKU"	" 5
• Przegląd wydarzeń /listopad-grudzień'87/	" 8
• JAN ANDRZEJ GÓRNY ARESZTOWANY!	" 10
• W 10 rocznicę powstania Komitetu Wolnych Związków Zawodowych - Z Kazimierzem Switonem rozmawia redakcja "Jesteśmy"	" 11
• NOWE WIERSZE Kazmierza J. Węgrzyńa	" 16
• Andrzej Sagt: OCALONY UMYŚŁ	" 17
• Krasnoludki są na świecie	" 24
• DWA SPOTKANIA: - Spotkanie na Karolkowej	" 25
- Na zaproszenie Lecha Wałęsy	" 27
• PPS - nowa inicjatywa polityczna - CZY UZYSKA POPARCIE SPOŁECZEŃSTWA?	" 28
- Deklaracja polityczna PPS	" 29
- Bogdan Wielowiejski: Krótka historia PPS	" 30
• A. Beskid: W stronę południowych sąsiadów - ZAOLZIE	" 32
• Z obozu	" 38
• Marek Nowakowski: SYBIR	" 40
• BIAŁE PLANY?	" 41
• Z prasy niezależnej	" 43
• NAGRODY ŚLĄSKO-DĄBROWSKIEGO KOMITETU KULTURY NIEZALEŻNEJ ...	" 45
• Nasze recenzje: "Polska rewolucja - SOLIDARNOSC"	" 46
• Nowości wydawnicze	" 47
• NARKOTYKI - ŚCIEŻKA SOWIECKA	" 48
• Kilka rad dla przesłuchiwanym	" 49
• KRÓTKO	" 51
• "Video - S"	" 52

Po referendum

SUKCES CZY KLĘSKA?

Podobno - jak twierdzi Jarzy Urban - Lech Wałęsa miał powiedzieć po referendum, że "wygrał nikt nie wygrał, a przegraliśmy wszyscy". Z drugiej strony - ogromna większość pism "Solidarności" (nie mówiąc już o prasie zagranicznej) uderzyła w ton tryumfalny. Bo referendum władza PRL przegrała. A skoro tak - wygrało społeczeństwo, wygraliśmy my. Ostatecznie - nie byliśmy wobec referendum obojętni. Wyowiedzieliśmy się jasno. Na pytania tak sformułowane nie mogliśmy odpowiedzieć "tak", a sam udział w tej zabawie był zwykłą stratą czasu. Nie bez przyczyny jedno z pism naszego regionu zamieściło w listopadzie hasło: "Zamiast iść do urny - umyć okna!"

Władza poniosła klęskę. I niech Urban nie przeinacza faktów, niech nie interpretuje wyników głosowania w duchu tzw. norm zachodnich czy amerykańskich. Wynikiem ważności polskiego referendum była pozytywna lub negatywna odpowiedź na postawione pytania większości uprawnionych do głosowania, a nie większości biorących udział w głosowaniu. I tego się trzymajmy. A większość powiedziała władzy PRL "nie". Na pierwsze pytanie - odpowiedziało "nie" 55,72 proc. uprawnionych do głosowania, a na drugie - 53,71 proc. Poprzez sbojkotowanie referendum i poprzez skreślenia "tak". W liczbach bezwzględnych stanowi to 8.562.686 osób nie biorących udziału w głosowaniu i 4.866.207 osób, które miały odwagę powiedzieć "nie" - mimo w nim swego uczestnictwa. A więc - 13.428.893 Polaków i Polek odniosło się do inicjatywy władzy negatywnie.

Tego jeszcze nie było! I to jest zastanawiające. Zastanawiające, że aż tylu rodaków miało odwagę wyrażenia tego co myśli. I zastanawiające, że władza miała odwagę do tego się przyznać. Komuniści nigdy tego jeszcze nie zrobili. Dlaczego zrobili to teraz? Kłumaczy się to różnie. Jedni twierdzą, że władzy chodziło o "test prawdy". Drudzy, że władza poszła na "luz", pewna sukcesu. Wskazywać na niego winy sondaże opinii publicznej i raporty gen. Kiszcza. Inni wręczcie, że władzy tak bardzo nie zależało na tym, żeby "regulację cen" przeprowadzić w ciągu 2-3 lat, dlatego poszła na ryzyko prawdziwego głosowania, obiecując sobie przy okazji zyskanie wiarygodności. Oto dowód naszych dobrych intencji - chcieli powiedzieć nam i światu: Jesteśmy za reformą gospodarczą i "demokratyzacją" w Polsce. A ponieważ jesteśmy "za", szanujemy wolę narodu.

Jakie były faktyczne przyczyny przyznania się do porażki - nie zgadzniemy. Możliwe, że przyczyny tkwią poza naszym krajem. Może np. Michał Gorbaczow chciał poznać prawdę jak głosują ludzie, którym pozwala się głosować? A może chciał pokazać przed podpisaniem porozumień rozbójniczych z Reaganem jak bardzo nie miesza się w wewnętrzne sprawy swych... "suwerennych" satelitów?

Kazimierz Dziewanowski pisał w "Tygodniku Powszechnym" (nr 50 z 13.XII.87), że "stało się coś, co nie ma precedensu na tym obszarze i w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat". Ale... "myślę, że w przyszłości będziemy mieli częściej okazję oglądania rzeczy zadziwiających". A dalej, że "gdy wszyscy przywykną do tego niedocziennego rezultatu - wtedy będzie to mogło wyjść wszystkim na dobre. Okaże się wówczas, że niebo nie spadło nikomu na głowę, rzeki nie wyschły, góry nie pomaszczowały w doliny (...). Okaże się może, że wśród polskich odrębności pojawiła się i taka. Pojawiła się i - wcale nie spowodowała końca świata". "Chciałbym mieć nadzieję - pisał dalej Dziewanowski - że decyzja (...) podania do publicznej wiadomości takiego właśnie wyniku będzie początkiem nowego podejścia do rzeczywistości: początkiem czasu traktowania ludzi poważnie".

To, co się zdarzyło, nie daje jednak żadnego powodu, aby się ludziom czy mięt nadzieję. Być może, będzie więcej demokracji, ale też będzie więcej dyscypliny. W tym szczerym wyznaniu gen. Jaruzelskiego zawarty został określony program. Demokracja będzie reglamentowana - i to według socjalistycznych zasad i reguł gry. Więcej wolności dostaną ci, którzy posłużą się nią dla umocnienia władzy i ustanowionej przez nią "porządku". Niemniej śmiało możemy uznać wyniki referendum za sukces "Solidarności" i niezależnego społeczeństwa. Prawie 13,5 mln Polaków, którzy powiedzieli władzy "nie", dowodzi, że rośnie znów w naszym narodzie odwaga i poczucie godności. Musimy więc zrobić wszystko, aby ten stan rzeczy utrzymał się. Tylko bowiem w SOLIDARNOŚCI nadzieja, że Polska stanie się Polską, a naród zacznie żyć normalnie.

REDAKCJA

MY GRUDZIEŃ PAMIĘTANY...

Jak co roku, 16 grudnia - w VI rocznicę tragicznych wydarzeń - odbyła się w kościele Podwyższenia Krzyża Świętego w Katowicach-Brynowie uroczysta Msza św. w intencji 9 poległych górników kopalni "Wujek" oraz uczestników strajku protestacyjnego (rannych i represjonowanych przez władzę ludową).

W kościele zebrało się około 2000 wiernych oraz przedstawiciele różnych grup "Solidarności" oraz niezależnych organizacji społecznych i politycznych. Były delegacje z Krakowa i Nowej Huty, Gdańska i Wrocławia. Reprezentowany był Region Śląsko-Dąbrowski, przede wszystkim delegatury RKW i zorganizowane grupy z Gliwic, Tychów i Jastrzębia. Transparenty wskazywały na obecność również Małopolskiego Komitetu Pamięci Górników "Wujka", NZS Katowice i KPN obszaru katowickiego.

Mszę św. odprawił ks. prałat Henryk Bolczyk - były proboszcz ówczesnej parafii brynowskiej, a obecnie proboszcz parafii św. Michała oraz ogólnopolski moderator Ruchu "Światło - Życie". Okolicznościowa Homilia poświęcona była odwadze i dawaniu świadectwa prawdzie. I choć ani razu nie padło w niej słowo "Solidarność" - miała przecież jednoznaczną wymowę. Mówiła o tych, którzy nie tylko dali dowód odwagi, ale i świadectwo prawdzie. Zginęli wszak za ideały "Solidarności", za sprawę, o którą ona walczyła i walczy.

Akcentowała to również modlitwa wiernych. Zebrani w kościele modlili się za poległych górników i za wartości, które były i są przesłaniem "Solidarności". Modlili się więc o wolność i sprawiedliwość, o ludzkie warunki życia i pracy, o ludzką godność i pozanawianie ludzkich praw.

Były recytacje okolicznościowych wierszy - w wykonaniu Janusza Leśniewskiego z Warszawy. A po Mszy - wspólne "Boże coś Polskę" i "Ojczyzno ma".

Podobnie jak w poprzednim roku - i tym razem prawie wszyscy uczestnicy uroczystości udali się w pochodzie pod krzyż kopalni, aby tam na miejscu tragedii 16 grudnia 1981 roku - zapalić znicze i złożyć wieniec i kwiaty. Trasa wolna była od milicji i umundurowanych grup służb specjalnych. Raz po raz błyskały jednak flesze, dowodząc obecności SB, która chciała mieć dobrą dokumentację zdjęciową.

Pod krzyżem zebranych powitał Tadeusz Jedynek, po czym krótkie przemówienia wygłosili: Kazimierz Świton, przedstawiciel regionu Małopolska oraz krakowskiego Niepodległościowego Ruchu Polskich Robotników. A po uczczeniu pamięci poległych - odśpiewano hymn narodowy. Uroczystość zakończyła się apelow Tadeusza Jedyneka, aby zebrani przechodząc w drodze powrotnej koło więzienia na Mikołowskiej - pozdrowili przebywającego tam przewodniczącego RKW naszego Regionu, Jana Andrzeja Górno.

Zebrani rozchodzili się spokojnie i bez przeszkód. Władze uszanowały manifestację, jednakże w okolicy Parku Kościuszki i Górnośląskiej na powracających pieszo czekały już zwarte szeregi MO i milicyjne suki. Zaczęło się palowanie i brutalne wciąganie ludzi do przygotowanych bud. Według różnych informacji - zatrzymano ok. 40 - 100 osób, wywołując ich do aresztu KW. Po kilku godzinach zatrzymanych zwolniono. Do 18 grudnia nie odbyło się żadne kolegium. Nie wykluczone jednak, że zatrzymani będą na nie wzywani w późniejszych terminach, aby pomniejszyć w ten sposób rozmiary represji. Zatrzymano też pojedyncze osoby na dworcach w Brynowie, Ligocie i Dworcu Centralnym.

I tym razem władze zadały więc kłam głoszonemu wczem i wobec deklaracjom o dobrej woli i "poszerzeniu" wolności obywatelskich. Godząc się na samą manifestację, ostatecznie znów sięgnięto po pałki. Uruchoмили je pod osłoną ciemności i w mało uczęszczanych rejonach parku, łudząc się z pewnością, że akcja ta nie zostanie ujawniona. Jednak jeszcze tego samego wieczora stacje zagraniczne informowały świat i Polaków w kraju o tym, co zaszło. W ten oto sposób jeszcze raz wszyscy mogli się przekonać jak wygląda jaruzelska prawda o polskiej "odnowie".

Według informacji, które zdołaliśmy zebrać, zatrzymani zostali: Bożena, Eugeniusz, Jerzy i Roman Bartoszewie oraz Andrzej Broda z Będzina, Barbara Czyż z Mysłowic, Edmund Dziedzic z Gliwic, Edward Picek z Rytomia, Maciej, Stanisław i Wojciech Kempa z Katowic, Roman Letner z Czeladzi, Szymon Lat-

wiński z Lublina, Jacek Łychla z Łyżymowa, Jacek Pajor z Siemianowic, Andrzej Rozpłochowski z Katowic-Janowa, Artur Rybak z Warszawy, Maria i Adam Sadowscy z Sosnowca, Adam Słomka z Katowic, Damian Sowa z Siemianowic, Andrzej Supiński i Marian Szreter z Bytomia, Krzysztof Szuster z Katowic, Krzysztof Trzaska z Dąbrowy Górniczej, Aleksander Wojtusik i Małgorzata Wypych z Katowic oraz Stanisław Zychla z Bytomia. Lista nie jest oczywiście kompletna.

O "WUJKU"

O "Wujku" ukazała się niedawno książka katowickiego autora, wydana nakładem jednej z krakowskich oficyn niezależnych. Po relacji "Czterech z Andalusji" oraz relacji ze strajku "Ziemowita" pt. "Co powiedzą nasze dzieci" - mamy więc kolejną pozycję odnoszącą się do zdarzeń na Śląsku w pamiętnym grudniu 1981 r.

Książki o "Wujku" jeszcze nie znamy. Otrzymałbym jednak refleksję związaną z tą kopalnią Albina Siwackiego. Zamieszczamy ją przede wszystkim ze względu na próbę przedstawienia dzisiejszego stanu rzeczy w tej kopalni. Ukazany obraz nie jest niestety - wesoły.

Była "przodowniczką", była "najlepszą", miała najwyższą wydajność. Jej nazwa raz po raz zdobiła szpalty gazet. Odznaczano ją - oficjalnie i po cichu. Kopalnia w zamian upiększała miasto i budowała domy kultury, kluby, pałace, pałacyki, wille... Koszty nie wchodziły w rachubę. Wystarczył telefon i wszystko było jak trzeba. Koszty wydobycia węgla rosły, ale tym nikt się nie martwił. Dyrekcja i KZ partii mieli premie i dobre samopoczucie. Bez przerwy lała się woda. A okazji do tego nie brakowało. Kopalnia była nadal najlepsza.

Ale oto nastąpiła gwałtowna zmiana. Do głosu doszli robotnicy. Dyrekcja i KZ partii znalazły się pod prężeniem opinii. Już nie dało się udawać sukcesów. Nie było wsparcia z góry i poczucia bezpieczeństwa. Rzeka premii, orderów urwała się. Ujawniła się nie tylko obłuda, ale i korupcja, cwaniactwo, prywatna, nadużywanie władzy. Ujawniła się twarz partii i jej akcjonariuszy. Odezwali się też szaraczkowe partyjni, którzy "nie widzieli", "nie słyszeli", a teraz ocknęli się i zaczęli domagać się prawdy, sprawiedliwości, ludzkich stosunków w życiu kraju i kopalni. Otworzono trochę okna na świat, zaczęto wentylować duszne wnętrza partii, ale tylko trochę i na tyle, aby wilk był syty i owca cała. Partia miała jeszcze wielu obrońców. Należeli do nich zapieci sekretarze i ich sojusznicy. W nich ujrzeli "Wujkowi" wodzowie swoją nadzieję i "światło w długim tunelu". Sekretarz KZ partii, inż. Mirski, liczył na nich szczególnie. Wierzył, że wyzwolą oni kraj i takich jak on od zarazy "Solidarności", wierzył w niezwyciężoną moc Armii Czerwonej.

A w kopalni nie działo się dobrze. Górnicy przestali być potulni. Wnikali we wszystko. Patrzyli również na niego. Czuli się niepewnie, zwłaszcza że nie miał czystego sumienia. Starał się oczywiście ograniczać ich ekspanzywność. Ale nie miał już tej władzy co dawniej. Nawet "Barbórka" wymknęła mu się z rąk. Na akademii pojawił się - miast sztandaru partyjnego - obraz św. Barbary i krzyż. A wśród gości zaproszono - o zgrozo - ks. Henryka Holczyka, proboszcza parafii św. Michała. W samym zaś Domu Kultury - miast partyjnych - rekolacje ewangelizacyjne. I to dwukrotnie: raz przed poświęceniem sztandaru zakładowego NSZZ "S" (we wrześniu 1981), drugi - przed "Barbórką". Powołany przez załogi Samorząd Pracowniczy też nie był taki, jakiego należało sobie życzyć...

Spełniły się jednak marzenia inż. Mirskiego i jemu podobnych. Gen. Jaruzelski ogłosił wreszcie stan wojenny. Przeciwno robotnikom ruszyły czołgi, wyruszyły bataliony ZOMO i MO. Wyruszyła armia, która wreszcie mogła "bronić pokoju" i "ratować ojczyznę" przed wrogiem - przed narodem. Górnicy "Wujka" - wierni swemu Związkowi oraz ideałom, które głosił, zaprotestowali. Na internowania, aresztowania, masowy terror odpowiedzieli NIE. Wystąpili w obronie pogwałconych praw obywatelskich i ludzkiej godności, w obronie "SOLIDARNOSCI".

Przebieg strajku i jego finał jest powszechnie znany. To właśnie tu górnicy złożyli największą ofiarę za sprawę, której pozostali wierni. To właśnie tu powstał - kolejny krzyż symbolizujący martyrologię Polaków i ludzi pracy pod rządami komunistów. Po krzyżu Ofiar Czerwca '56 i Ofiar Grudnia '70 pojawił się krzyż Ofiar Grudnia '81 - krzyż śląski, a zarazem ogólnopolski, równy co do rangi i znaczenia tamtym. 9 zamordowanych górników, nie licząc innych ofiar, które spowodowała wojna komuny z narodem.

Ten krzyż istniał już wcześniej, wykonany został przez górników dla upamiętnienia Mszy św. odprawionej przez bp. Czesława Domina 2.XI. 1980 r. - jako ofiara wotywna za wszystkich górników, którzy na tej kopalni zginęli w ciągu 80 lat. Był on potem świadkiem różnych uroczystości religijno-patriotycznych górników. Przed nim górnicy przygotowywali się do poświęcenia sztandaru zakładowego NSZZ "S" - uczestnicząc w rękolekacjach ewangelizacyjnych, pod nim odbyło się poświęcenie tego sztandaru (dokonał go bp. Herbert Bednorz przed kościołem św. Michała - we wrześniu 1981 r.), uczestniczył wreszcie w uroczystościach barbórkowych w Zakładowym Domu Kultury (2-4.XII. 81). W końcu znalazł się w łaźni kop. "Wujek" w dniach strajku protestacyjnego 13-16.XII.81. Przed nim górnicy modlili się, uczestnicząc w odprawianych tam Mszach św. i nabożeństwach różańcowych. Dodawał im siłę, krzepił wiarę, był ostoją. A gdy polała się krew - górnicy zanieśli go na ramionach i postawili w miejscu kaźni. Aby przypominał ofiarę - nie tylko Chrystusa, ale i ofiarę ludzi. Zginęli przecież w imię Jego i dla sprawy, którą On błogosławił. Zginęli za innych, za wolność i sprawiedliwość, za prawdę i miłość.

Stał tam do 26.I. 1982 r. W rocznicę "wyzwolenia" Katowic - w nocy z 26 na 27.I. ktoś ten krzyż połamiał i wyrzucił. "Nieznani sprawcy" pozostali do dziś "nieznani". Ale nie trudno się domyślić kto to zrobił i dlaczego. Ten krzyż bódł w oczy oprawców i tych, którzy się z nimi utożsamiali. Był zbyt otwartym symbolem. Najgorzej było jednak to, że gromadzili się przed nim nieustannie nie tylko górnicy ale i przechodnie, tłumy ludzi, którzy pielgrzymowali do niego, by oddać mu hołd, a poprzez hołd temu krzyżowi - także ofiarom zbrodni. Kwiaty, znicze, wieńce wezwania modlitwowe i słowa solidarności ludzkiej były dla oprawców nie do zniesienia. Bezustannie paliły się świece i znicze. Prosty krzyż z drzewa - stał się miejscem świętym.

Więc musiał zniknąć.

Oprawy jednak nie oczekiwali reakcji braci górniczej. Na wieść o zniknięciu krzyża górnicy znów się zebrali. Groził nowy wybuch. Ze strachu przed dalszą reakcją - władze zgodziły się na ustawienie drugiego krzyża. I ten krzyż znów obasypany kwiatami pozostał do dziś. Był jednak przez wiele lat w swego rodzaju areszcie. Zatrzymujących się przed nim natychmiast zatrzymywano, legitymowano a bardzo często aresztowano. Brutalnie usunięto sprzed niego katowickich biskupów wraz z kapitułą, gdy w 1983 r. udali się, aby się pod nim pomodlić. A w grudniu 1983 r. aresztowano pod nim Kazimierza Świtonía i Annę Walontynowicz, gdy usiłovali przybić ufundowaną przez gdańskich stoczniowców tablicę upamiętniającą tragedię górników... Chcąc zdeprecjonować miejsce - dyrekcja i KZ partii kopalni umieścili tuż obok własną tablicę, upamiętniającą "śmierć górników poległych na posterunku pracy i za ojczyznę". Po przeciwnie zaś stronie ulicy - hałała partyjne o "przyjaźni polsko-radzieckiej". Niewiele to jednak dało. Krzyż pozostał krzyżem i ludzie wiedzą, co jest prawdą a co fikcją. I przychodzą aby oddać hołd temu właśnie krzyżowi i tym ofiarom - konkretnym - z 16.XII.1981. A w kaplicy nowożytnożeznego kościoła parafialnego pod wezwaniem Podniesienia Krzyża Świętego. - bo takie wezwanie nadał mu bp. Bednorz, spełniając życzenie wigilijne parafian, 16-ego każdego miesiąca odprawiana jest Msza św. w intencji właśnie tych grudniowych ofiar.

A w kopalni ?

To już oczywiście nie ta sama kopalnia. W ciągu kilku lat od tamtych wydarzeń ujarzmiono niemal całkowicie załogę Ci, którzy strajkowali w grudniu '81, już nie pracują. Najbardziej aktywnych aresztowano i akazano na więzieniu, wielu internowano, wielu zwolniono z pracy, a niektórzy odeszli sami, nie mogąc znieść nowych warunków, jakie wprowadzano po strajku. Górnicy więc fedrują, dyrekcja rządzi jak dawniej, ORMO czuwa, SB penetruje i infiltruje załogę, a sama kopalnia pogrąża się w kryzysie i stagnacji.

Na codzień zauważa się brak frontu robót wydobywczych. Ten brak frontu, zużyta obudowa, zużyta odatawa (przenośniki do węgla) i transport kołowy (pociągi, tory, zaciężnieta chodniki przewozowe) nie nadążają za wymaganiami władzy. Wydobyć z 11-12 tys. ton na dobę w 1981 r. spadło do rzędu 6-8 tys. ton w 1986 r. Praca pod ziemią stała się coraz cięższa i coraz bardziej szkodliwa dla zdrowia. Sprawiają to fatalne warunki klimatyzacyjne w przodkach wydobywczych górnicy pracują bardzo często w wyrobiskach gdzie temperatura przekracza 28°C, a zawartość tlenku i dwutlenku węgla przekracza dopuszczalne normy (0,002 % tlenku i 0,02 % dwutlenku węgla). Żeby ludzi "odczulić" na te zagrożenia, premiuje się

tych, którzy w takich warunkach pracują, wysokość premii wynosi zwykle wartość pół litra wódki. Tak więc górnicy najpierw zatrują się gazem, a potem "odtru-
wają" alkoholem. Widzi się ich jak popijają po pracy wokół kopalni. Lekceważy
się też zagrożenie pożarowe, a nawet same pożary. Wiele z nich nie zgłasza się
nawet wyższym władzom. A przy tym jak za dawnych "dobrych" lat - fałszuje się
wyniki badań kontrolnych powietrza. Metaniarze, wpisujący rzeczywiste wyniki
pomiarów, są Niemile widziani. Robotników nie informuje się o zagrożeniach. Z
reguły podaje się im zaniżoną temperaturę powietrza, bo - zgodnie z przepisami
- przy podwyższonej trzeba by im skrócić czas pracy. W dodatku wprowadzić na
zagrożone odcinki robotników z odpowiednim sprzętem. A to są poważne komplikacje.
W przypadkach, kiedy już się nie da ukryć stanu zagrożenia, przekupuje
się górników premiami za pracę w warunkach niedozwolonych. Niekiedy zmusza się
wręcz do pracy pogróżkami i szantażem. Dezintegruje się załogę również przy
pomocy donosów. Osoby dozoru, które odważyłyby się wykryć i ujawnić sytuację
zmuszającą do przerywania pracy przenosi się po prostu do innych rejonów, a
ludzie pracują dalej. Bożór boi się w przypadkach zagrożenia skracania czasu
pracy czy wręcz przerywania pracy. Czeka na decyzje władz bhp, a te z kolei -
na decyzje dyrekcji. Dyrekcje jednak też się boją ... gwaroćwa itp. Wszyscy
wszystkich się boją, aby nie stracić premii czy posady. Bo najważniejsi są nie
ludzie, lecz produkcja, coraz więcej węgla, którego jednak nie przybywa. Ale
każde dalsze obniżenie produkcji - to już problem na szczepku ministerstwa.
A z tym żartów nie ma.

A tymczasem w propagandzie, na użytek zewnętrzny, na "Wujku" coraz lepiej.
Jak za dawnych lat. Może i lepiej - niektórym. Dyrekcji, partii, dozoru na
pewno wiedzie się coraz lepiej. Przywileje mnożą się, pieniądze płyną, orderzy
są przypinane. A ci na dole - wyrwają z ziemi węgiel, ryją urobek i... piją.
Coraz częściej piją też sztygarzy i nadsztygarzy. Pije również dyrekcja i par-
tia. Nie wystarczy bowiem tylko pieniądze. Oni wiedzą dlaczego piją.

W dodatku, znów krzawi się złodziejstwo. I również fuchy - na lowo i prawo.
Jednemu z byłych zastępców dyrektora NIK udowodnił defraudację 44 mln zł. Ale
okazało się, że sprawy nie ma. Został tylko na wszelki wypadek przeniesiony
do innego zakładu. Strażnicy mienia i porządku przemykają oczy. Oni też zresz-
tą kradną lub czerpią zyski z kradzieży. Kradnie się niemal jawnie. Wystarczy-
łoby np. wzmoć kontrolę wywożonego szmelcu lub smieci. W samochodowych transpor-
tach wywożone są materiały budowlane i cenne drewno - często już obrobione dla
potrzeb "użytkowników". Zamiaszt wywożonego dobra społecznego - szuka się nato-
miast... ulotek, tajnych pism i tajnej literatury. Śledzi się ludzi, którzy ma-
ją krytyczne spojrzenie i wiedzą więcej niż powinni. Macą spokój dyrekcji i za-
kładowej partii, macą spokój siły, a robotnikom wskazują przyczyny zła - w
kraju i w kopalniach.

Robotnicy są jednak bierni. Widzą to wszystko, ale milczą. Milczą, ale nie
są obojętni. I choć to inni już robotnicy - z nowego naboru - to jednak i w
nich rodzi się poczucie niesprawiedliwości i krzywdy. Aż pewnego dnia wybuchną.
Jest pewne, że to się stać musi. Jak długo bowiem można żyć w upodleniu, peł-
niąc rolę jedynie robionego w konia robota? Codziennie zresztą przechodzą koło
tego krzyża. A ten krzyż - choć milczący dziś i niemal opuszczony - mówi dużo.

ALBIN SIWACKI

UWAGA, CZYTELNICY!

Począwszy od tego numeru "Jesteśmy" wydawane będzie przez Oficynę Śląską.
Oficina Śląska jest wydawnictwem niezależnym, współpracującym
z RKW NSZZ "Solidarność" Regionu Śląsko-Dąbrowskiego i śląsko-dąbrowskim
Komitetem Kultury Niezależnej. Powołana została do prowadzenia
działalności wydawniczej dla zaspokojenia potrzeb niezależnego społeczeń-
stwa Śląska i Zagłębia oraz innych regionów kraju - zgodnie z programem
"Solidarności" i autentycznym interesem narodowej kultury.
Przeprowadzona zmiana w niczym oczywiście nie zmienia niezależnego
statusu naszego pisma. Jest jedynie zabiegiem organizacyjnym, mającym na
celu usprawnienie i zabezpieczenie normalnego cyklu produkcyjnego.

Redakcja "JESTEŚMY"

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

listopad - grudzień '87

Wypadki toczą się szybko. Nie sposób nadażyć. Zwłaszcza w sytuacji dwumiesięcznika, którego cykl produkcyjny z natury rzeczy jest długi. Są jednak sprawy mające dłuższy żywot niż miesiąc - dwa. Stąd charakter naszych komentarzy. Dziś ograniczamy się tylko do 2 spraw: szczytu Reagan-Gorbaczow, który przyniósł układ o likwidacji rakiet średniego zasięgu, a zarazem zapowiada dalsze tego rodzaju posunięcia, i... wojny w Afganistanie, która - jak wiemy - pochłania nie tylko ponad 3 mld dolarów rocznie z kasy Układu Warszawskiego /a zatem 1 "polskie" miliardy, choć wojna jest wybitnie radziecka i ma na celu radzieckie korzyści imperialne/, lecz i miliony ludzkich ofiar.

TRZECI SZCZYT ● Trzeci szczyt Reagan-Gorbaczow zakończył się konkretnym osiągnięciem: podpisaniem układu o likwidacji rakiet średniego zasięgu. Choć stanowią one zaledwie 3 proc. całego potencjału atomowego obu supermocarstw, podpisanie układu uznano za krok o znaczeniu historycznym. W Waszyngtonie zapanowała atmosfera zbliżona do euforii. "Imperium zła" wydało się jakby nieco mniej złe, agresja radziecka w Afganistanie - mniej krwawa, a "archipelag Gułag" - mniej rozległy. Prezydent Reagan stwierdził nawet, że ZSRR nie dąży już do opanowania świata. Dopiero później, gdy fala entuzjazmu zaczęła opadać, okazało się, że są i tacy, którzy na układzie stracili. Tym wielkim przegranym wydaje się być Europa. Oto - po raz pierwszy - o losie Europy zdecydowały dwa nieeuropejskie mocarstwa, w zasadzie nie pytając nawet o jej zdanie. Najbardziej nawet optymistyczne deklaracje pokojowe nie przeszkonią bowiem faktu, że zachodnia Europa pozabawiona została amerykańskiej osłony rakietowej przed przeważającymi po wschodniej stronie siłami konwencjonalnymi.

STOSUNEK SIŁ KONWENCJONALNYCH

NATO	Pakt Warszawski
żołnierze - - -	1,8 mln
czołgi - - -	20.300
artyleria - - -	9.700
samoloty - - -	4.318
helikoptery - - -	714
	2.085

Dane według "Le Figaro" z 1986 r.

Nie dosyć na tym, w Pentagonie mówi się już - i to dość poważnie - o możliwości wycofania z Europy wojsk amerykańskich. Podważa to nie tylko sens istnienia Paktu Północnoatlantyckiego, ale stawia Europę zachodnią w zupełnie nowym położeniu, jeśli idzie o jej bezpieczeństwo. W tej sytuacji nie pozostaje jej właściwie nic innego jak podjąć zbrojenia, szczególnie w broniach konwencjonalnych, które - jak wiadomo - są znacznie kosztowniejsze od broni atomowej. Alternatywą byłoby dać się przez ZSRR "sfinlandyzować". Z tego stanu rzeczy zdano sobie sprawę przede wszystkim w Paryżu, gdzie podniosły się najostrejsze głosy krytyki pod adresem radziecko-amerykańskiego szczytu. Również Bonn ubolewa, że umowa o likwidacji rakiet nic nie mówi o rakietach o zasięgu poniżej 500 km, które nadal zagrażają RFN /podpisany w Waszyngtonie układ obejmuje rakiety o zasięgu od 500 do 5.500 km, nie dotyczy więc takich radzieckich rakiet, jak SS-23 do 500 km, SS-1 do 300 km, SS-21 do 400 km oraz Frog 7 - do 70 km/.

O ile w dziedzinie rozbrojenia waszyngtoński szczyt był niewątpliwie ważnym krokiem naprzód, zwłaszcza że osiągnięto pewne wstępne porozumienie w sprawie redukcji rakiet międzykontynentalnych, o tyle w pozostałych dwóch dziedzinach, które były przedmiotem radziecko-amerykańskich rozmów - respektowanie praw człowieka i konflikty regionalne - rokowania zakończyły się właściwie całkowitym fiaskiem. Co prawda, Gorbaczow miał ponoć obiecać, że ZSRR wycofa swe wojska z Afganistanu w ciągu najbliższego roku, ale obwarował natychmiast swoją obietnicę warunkiem, że Stany Zjednoczone wstrzymają pomoc dla muhaddedinów. Takie stanowisko nie rokuje żadnych nadziei na sprawiedliwe rozwiązanie konfliktu afgańskiego. Związek Radziecki chce bowiem dopiero wówczas wycofać się z Afganistanu, kiedy reżimowi w Kabulu przestaną już zagrażać powstańcy. Bez wojskowego wsparcia radzieckiego - jak wiadomo - reżim ten nie przetrwałby tygodnia. Jeśli zaś idzie o respektowanie praw człowieka, to Gorbaczow zajął w Waszyngtonie stanowisko

wręcz agresywne. "Jakim prawem - powiedział na konferencji prasowej - Stany Zjednoczone ciągle oskarżają Związek Radziecki o nieprzestrzeganie praw ludzkich?" Dlaczego on, Gorbaczow, ma być oskarżonym a prezydent Reagan oskarżycielem? Kto dał mu takie prawo? Odpowiedź na to dość arogancko sformułowane pytanie udzieliło pośrednio dwóch amerykańskich kongresmanów, stwierdzając, że jeśli ZSRR chce rozmawiać ze Stanami Zjednoczonymi to musi zgodzić się i na poruszenie tego tematu. Inna, o wiele bardziej konkretną odpowiedź były demonstracje przed Białym Domem przedstawicieli podbitych przez ZSRR narodów: Litwinów, Łotyszów, Estonów, Polaków /również tych z "Solidarności"/, Żydów oraz Afganczyków. Należy jednak wątpić, czy ich hasła i krzyki zakłóciły spokój i podniosły nastroje przejęcia, na którym ucztowali wielcy tego świata. Pani prezydentowa martwiła się głównie tym, że jej dostojny gość nie uwzględnił jej życzenia i na ten uroczysty wieczór nie przywdział smokingu. Natomiast obaj przywódcy mogli być z siebie zadowoleni. Reagan, że udało mu się urzeczywistnić swoje najszybsze marzenie przejęcia do historii jakimś spektakularnym czynem. A Gorbaczow, że chyba uda mu się skłonić Amerykę do równomiernego, obustronnego ograniczenia zbrojeń, aby zyskać dogodną potrzebę mu do jego reform. Władca Kremla nie pragnie - rzecz jasna - zmienić lub przeobrazić radzieckiego państwa. Chce je tylko ulepszyć i umocnić.

AFGANISTAN: NAJBARDZIEJ KRWAWA WOJNA XX WIEKU * Agresja sowiecka w Afganistanie, o której w prasie zachodniej zaczęto już trochę zapominać, stała się znów aktualna, a to w związku z kolejnym, ósmym z rzędu, głosowaniem w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ. Wyniki tego głosowania były dla ZSRR najbardziej niekorzystne ze wszystkich dotychczasowych. 123 państwa opowiedziały się za natychmiastowym wycofaniem z Afganistanu wojsk radzieckich i zagwarantowaniem temu krajowi prawa do samostanowienia. Tylko 19 państw z obozu moskiewskiego głosowało przeciw tej rezolucji, a 11 się wstrzymało. Przypomnijmy, że we wszystkich ośmiu głosowaniach zdecydowana większość członków ONZ głosowała za bezwarunkowym wycofaniem wojsk radzieckich z Afganistanu.

Niemal równocześnie opublikowano wyniki badań specjalnej komisji Narodów Zjednoczonych, która zajmowała się skutkami ósmego rok trwającej wojny w tym kraju. Zginęło ponad milion ludzi. Opuszcza kraj 5 milionów. 3 miliony uchodźców przebywających w Pakistanie straciło na wojnie 9 proc. swych krewnych, a dalsze 3 proc. doznało trwałego kalectwa. Oznacza to w skali całego kraju co 11 Afganczyka. Jest to najwyższy poziom strat w historii wojen tego stulecia. Dla przykładu: w II wojnie światowej ZSRR stracił 8,6 proc. swych obywateli, a straty niemieckie były nawet niższe. Liczby te oparte są na reprezentatywnych badaniach 3-milionowej społeczności uchodźczej, zgrupowanej w 328 obozach na terenie Pakistanu. Oprócz nich na wychodźstwie w Iranie przebywa ok. 2 mln Afganczyków. Wśród uchodźców w Pakistanie 24 proc. jest już tam urodzonych. Najnowsze opracowanie ONZ wskazuje na straszną skuteczność współczesnego lotnictwa. 46 proc. zabitych i na stałe okaleczonych Afganczyków - to ofiary nalotów. Ostrzał z broni ręcznej jest przyczyną 33 proc. ofiar, artylerii - 12 proc. a od min zginęło lub uległo kalectwu 3 proc. 70 proc. ankietowanych stwierdziło, że ich domy i systemy nawadniające zostały zniszczone. Ponad 90 proc. określa się jako wieśniaków z terenów rolniczych. Jest to sprzeczne z oświadczeniami reżimu w Kabulu, że większość uchodźców stanowią koczownicy. Wojna w Afganistanie nasiliła się szczególnie w ostatnich dwóch latach. Wskazuje na to fakt ujęty w badaniach, że w tym okresie co dziesięciu uchodźca poniósł śmierć lub został na stałe okaleczony w czasie ucieczki z kraju. Liczba ta była o połowę mniejsza przed rokiem 1985.

Opracowanie ONZ w sprawie skutków wojny w Afganistanie wskazuje niedwuznacznie na ludobójczy charakter sowieckiej agresji. Radzieckie wojska okupacyjne nie mogą dogodzić muhadżedzin w ich bazach stosując taktykę "palonej ziemi" niszcząc całe wale, w których powstańcy znajdują oparcie. Taktyka ta nie przyniosła jednak wojskom sowieckim spodziewanych sukcesów. Muhadżedini są coraz lepiej uzbrojeni i coraz silniejsi. Zadają coraz dotkliwsze ciosy wojskom okupacyjnym i reżimowym. Krwawa wojna w Afganistanie daleka jest od rozwiązania po myśli Moskwy.

KOMENTATOR

WŁATY:

Tamara - 5.000 - na rozwój prasy niezależnej, od Cybucha - na potrzeby naszego pisma - 1.100. Dziękujemy!

JAN ANDRZEJ GÓRNY ARESZTOWANY!

Do liczby prawie 20 więźniów politycznych, którzy znów wypełniają PRL-owskie więzienia, w czwartek 19.XI.1987 r. doszedł jeszcze jeden - Jan Andrzej Górny, przewodniczący naszego regionu. Pretekstem aresztowania były "nieformalności meldunkowe", a następnie - jak to oficjalnie podano - "złośliwe uchylanie się" od płacenia alimentów na córkę.

Znamy i inne - równie absurdalne - preteksty aresztowania i przetrzymywania w więzieniach śledczych - działaczy związkowych i opozycyjnych, mające na celu zdyskredytowanie ich w oczach społeczeństwa. Opluwanie to przecież stała metoda władz komunistycznych, ze szczególnym upodobaniem stosowana zwłaszcza przez ekipę Jaruzelskiego-Kiszczaka. Nie dziwią nas więc insynuacje SB, ani próba uczynienia z Jana Andrzeja Górnego, który od 13.XII.1981 roku - wierny ideałom "Solidarności" - działał w podziemiu, walcząc o prawa dla niezależnego ruchu związkowego w Polsce, "przestępcą kryminalnym", w dodatku z piętnem "wyrodnego ojca" i "nierzetelnego męża". Dziwi jedynie upór, z jakim SB - wbrew oczywistym faktom i powszechnym odczuciom - nadal te metody stosuje.

Aresztowanie przewodniczącego regionu miało i ma charakter represji politycznej, wymierzonej nie przeciwko "wyrodnemu ojcu", lecz działaczowi naszego Związku, a więc jest sankcją za działalność społeczną i polityczną. Jan Andrzej Górny jest kolejnym więźniem sumienia - i to jest oczywiste. Podane przez rzecznika prasowego rządu przyczyny aresztowania przewodniczącego naszego regionu należy z oburzeniem odrzucić; są jeszcze jedną próbą zdyskredytowania ludzi i spraw, którym służyli i służą, są obelgą wymierzoną przeciwko całemu Związkowi.

Oczywiście, nie sposób obecnie ustalić wszystkie szczegóły, związane z osobistym życiem Jana Andrzeja Górnego - w sytuacji, gdy sam bronić się nie może, a nawet jego obrońca nie ma do niego dostępu. Wiemy jednak - i tego jesteśmy pewni - że wszelkie zobowiązania finansowe przewodniczącego wobec jego rodziny były regulowane. Zna miała z nim zresztą stały kontakt przez matkę i przyjaciół. Prawdopodobnie i ona jednak nie może ujawnić prawdy, zastraszona i manipulowana przez SB.

Jan Andrzej Górny był - i jest nadal - przewodniczącym RKK Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Został aresztowany jako działacz związkowy i polityczny. Byliśmy z nim, kiedy kierował regionem i reprezentował go w RKK. Jesteśmy z nim również teraz. Żądamy uwolnienia go i odwołania wysuwanych przeciwko niemu obraźliwych zarzutów. Jan Andrzej Górny nie był i nie jest przestępcą kryminalnym!

KAZIMIERZ KOZIELSKI

P.S. Jak się dowiedzieliśmy, suma 130 tys. zł, którą Jan Andrzej Górny był rzekomo winien Funduszowi Alimentacyjnemu, została przez jego adwokata wpłacona. Ustalił więc przyczyny formalne sankcji prokuratorskiej zastosowanej przeciwko "dłużnikowi". Mimo to - Jan Andrzej Górny nadal przebywa w katowickim areszcie śledczym pod ścisłym nadzorem SB.

TWORZYMY ARCHIWUM

Redakcja "Jesteśmy" pilnie poszukuje następujących numerów "Wolnego Związkowca": 15 /rok 1980/ oraz 1, 2 i 6 /rok 1981/. W zamian odstąpimy inne numery /mamy wiele archiwalnych dubletów/.

Poszukujemy również następujących numerów "Dziennika Związkowego": 2-4, 16-17, 25, 46, 51, 53, 55 i 79.

Kontakt - za pośrednictwem kolporterów.

Przy okazji - prośba do wszystkich: nie niszczyć starej prasy "Solidarności" oraz innych niezależnych związków z lat 1980-1981! Jeśli nie macie szansy na skompletowanie ukazujących się wówczas pism - przekażcie je naszej redakcji, która zabezpieczy, a następnie przekaże je do zbiorów publicznych, gdy przestaną być prohibitami.

Dotyczy to - rzecz oczywista - nie tylko prasy i wydawnictw, lecz również wszystkich innych archiwaliów związanych z naszą pracą i walką.

Z Góry dziękujemy!

W 10 rocznicę powstania
Komitetu Wolnych Związków Zawodowych
23.II.1978 - 23.II.1988

Z KAZIMIERZEM SWITONIEM

ROZMAWIA REDAKCJA "JESTEŚMY"

MY: 10 lat to już historia... Faktem bezspornym jest, że był Pan pierwszym, który wystąpił z tą niezwykłą u nas inicjatywą. Niektórzy uważali Pana za szaleńca...

K.SWITON: Tak, to prawda. Ludzie pukali się w czoło, uważali mnie za co najmniej niefortunnie wyważonego. Nie dziwię się im, bo przecież wieloletni terror zrobił swoje. "Z tą władzą nikt nie wygra" - mówili. To donkiszoteria. Dziwiła mnie jednak niewiara niektórych działaczy opozycji. Byli dzielni, umieli pięknie mówić o braku wolności i bezprawiu w kraju, występowali w obronie dyskryminowanych robotników, walczyli z systemem na płaszczyźnie intelektualnej i moralnej, ale poczucie realizmu mówiło im, że komuniści zgodzą się, być może, na wiele, ale na wolne związki zawodowe - nigdy. Po co więc kruszyć kopie o z góry przegraną sprawę?

MY: Próbował Pan przekonać ich?

K.SWITON: Oczywiście. Był to jednak stracony czas. A mnie i moich przyjaciół potraktowano jak "młodszych braci". Byliśmy przecież tylko robotnikami, nie mieliśmy ani doświadczenia, ani ogłady politycznej. Występowali w obronie robotników, to prawda, ale nie znali nas i chyba nie rozumieli.

MY: Niech Pan przypomni parę faktów. A więc - jak doszło do tej "szalonej" myśli. Jak doszło do tego, że jednak znalazł Pan kilku ludzi, którzy podzieliłi Pana zamysły?

K.SWITON: Musiałbym się cofnąć o kilka lat, a może nawet więcej, bo aż do dzieciństwa, wczesnej młodości. Otóż wpojono mi w domu pewne zasady, pewną wrażliwość na ludzką krzywdę. To może brzmie dumnie, ale myślę, że tak właśnie było i jest: poszanowanie godności i praw człowieka, wolności i niezależności, sprawiedliwości. Nigdy nie chciałem być przywódcą. Cel, do którego dążyłem, był zawsze jeden: służyć innym, nie być obojętnym na ludzki los. A żyjąc w tym kraju widziałem i przeżyłem wiele. Czerwiec '56 był chyba przełomowy. Do tego czasu jeszcze można było mieć złudzenia, że może - mimo wszystko - ta władza jest robotnicza i chce służyć robotnikom. Krew, jaka się wówczas poalała na ulicach Poznania, odsoniła jednak prawdziwe oblicze władzy. Już wówczas wiedziałem, że z komunistami nigdy nie będzie mi po drodze. No i prozęc sobie przypomnieć jakie stanowisko zajęły wobec robotniczego protestu ówczesne związki zawodowe. Miał bronić interesów ludzi pracy - pomagały władzy w ich eksploatacji i wyzysku. Związki zawodowe nie broniły robotników, lecz jedynie poganiały do nieludzkiego wysiłku, w dodatku często w warunkach zagrażających ich zdrowiu, a nawet życiu. Później - jako radiomechanik - dużo chodziłem po domach, poznawałem ludzi i ich sprawy. Często zadawaliśmy sobie wtedy pytanie: co robić, żeby zmienić naszą sytuację, co my wszyscy powinniśmy zrobić, aby w Polsce zapanała wreszcie demokracja i sprawiedliwość, aby ludzie poczuli się wolni i byli naprawdę wolni. Wielu znajomych uważało, że wystarczy zmusić związki zawodowe do służenia. Trzeba im po prostu przypomnieć, jakie mają obowiązki i cel. Ja też myślałem, że to coś da. Pewnego więc razu napisałem długi elaborat do WRZZ, a nawet do GRZZ, ale odpowiedzi nie otrzymałem.

Wydarzenia 1970 roku, wreszcie 1976 umocniły mnie w przekonaniu, że mogą się zmieniać ekipy rządzące, ale w kraju wszystko pozostaje po staremu. Po Radomiu i Ursusie stało się oczywiste, że "dialogować" z komunistami nie można. Trzeba ich stawiać wobec faktów dokonanych. Takim faktem był KOR. Mimo różnych wstrętów i sztyku, czynionych tej grupie przez reżim Gierka, ludzie ci nadal działali - i to miało ogromny sens. Moralny i polityczny. Ale to byli robotnicy. Przecież ta władza wszem wobec głosiła, że jest ich władzą i działa w ich interesie. A jeśli tak - to trzeba, aby właśnie oni powiedzieli jej "nie". Po represjach urusowsko-radomskich KOR apelował do społeczeństwa, aby wysłało petycję do Rady Państwa o uwolnienie aresztowanych. Natychmiast włączyłem się do tej akcji. A potem zgłosiłem prośbę do KOR-u, aby mnie przyjęli

do swego grona. Do przyjęcia nie doszło. No oś - kim był dla nich SWITON, w dodatku - ze Śląska, który raczej nie cieszył się dobrą opinią w reszcie kraju? Ale to mnie nie zraziło. Przeciwnie - jeszcze bardziej utwierdziło w przekonaniu, że tylko we "wspólnym froncie", że tylko razem będziemy mogli coś zdziałać. Po śmierci Stanisława Pyjasa pojechałem do Krakowa. W czasie uroczystości pogrzebowych aresztowano 11 członków KOR-u. Byłem oburzony. Toteż - kiedy 25 maja dowiedziałem się z radia /oczywiście, "wolnoeuropejskiego"/, że w kościele św. Marcina w Warszawie rozpoczęła się głódówka protestacyjna w intencji uwolnienia aresztowanych robotników oraz członków KOR-u - natychmiast pojechałem i przyłączyłem się do tej akcji. Ta głódówka to był przełom...

MY: Poczuli się Pan wreszcie w grupie. Nie był Pan już sam...

K.SWITON: Tak, to było bardzo ważne. Poznałem wówczas wielu wspaniałych ludzi. To było wielkie przeżycie. Nauczyłem się przy tym jak należy postępować z przeciwnikiem i nie dać się sprowokować, jak należy się zachować w razie zatrzymania przez MO czy SB. Przede wszystkim jednak - i to jest chyba najważniejsze - pozbyłem się strachu.

MY: Wtedy to było jeszcze rzadkie. Większość z nas /myśliwy tu o ludziach zaangażowanych/ nie miała jeszcze odwagi publicznego artykułowania swojej postawy...

K.SWITON: Zwłaszcza tu, na Śląsku. Po mojej głódówce wielu znajomych odsunęło się ode mnie i od mojej rodziny. Bali się, że wcześniej czy później zostaną nachodzeni przez ludzi z SB i pewnie mnie zamkną, a oni będą mieli kłopoty. To było przykre. Czuliśmy się niekiedy jak trędowaci. Nie chcieli ze mną rozmawiać nawet księża. Tylko śp. ks. Blachnicki okazywał mi życzliwość i udzielał duchowego wsparcia, ale to był niezwykle kapłan. Miałem jednak i trochę przyjaciół, a po powstaniu Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela /powstał 25.III.1977/ przybywało ich coraz więcej...

MY: Był Pan w ROPCio?

K.SWITON: KOR mnie nie chciał, a ROPCio przyjął bardzo serdecznie. W moim mieszkaniu został utworzony nawet punkt konsultacyjny tego Ruchu. W każdy czwartek - w godzinach wieczornych - spotykali się ludzie różnych orientacji społecznych i politycznych, tam też była możliwość otrzymania publikacji wychodzących poza cenzurą, takich jak "Opinia", "Biuletyn Informacyjny", "Robotnik", "Placówka", "Gospodarz" i "Głos". Oczywiście, dom zawsze otoczony był przez tajniaków i MO, a każdy wychodzący ode mnie przewożony na komendę, gdzie spędzał 48 godzin. Ale niektórych to nie zraziło. I właśnie dzięki temu uzbierało się nas dziewięciu i utworzyliśmy pierwszy w Polsce Komitet Wolnych Związków Zawodowych. Byli to: Rostisław Cygan z Wodzisławia, Zdzisław Mnich z Bielska, Józef Bał z Katowic, Roman Kściuczek z Mysławic, Władysław Sulecki z Gliwic, Stanisław Tor z Krakowa, Tadeusz Kicki z Sosnowca, dr Pines z Katowic i ja. Po przekazaniu oświadczenia o utworzeniu Komitetu dziennikarzom zagranicznym - ośmiu z nas zostało natychmiast zatrzymanych przez SB. Zwolniono ich jednak po 48 godzinach. Mnie zatrzymano następnego dnia. Nie muszę dodawać, że usiłowano nas zmusić do zaniechania naszej działalności. I częściowo im się to powiodło. Po zwolnieniu z aresztu wycofał się dr Pines /SB wmowiła mu, że KOR nie popiera tego rodzaju inicjatyw, a ponieważ był sympatykiem tej grupy... uznał swój udział w Komitecie za pomyłkę/ i Tadeusz Kicki /przyznał się uczciwie, że nie wytrzymał presji w czasie przesłuchania i zgodził się na współpracę z SB/.

MY: A Pana pierwszy areszt?

K.SWITON: To było 17 listopada 1977, kiedy z Adamem Wojciechowskim /członkiem ROPCio/ zbierałem podpisy przed dworcem kolejowym w Katowicach pod kolejną petycją w sprawie więźniów. To było mocne przeżycie, ale już się nie bałem. A potem... przywykłem. Czy wiecie, ile razy byłem zatrzymywany?

MY: Co najmniej 20, 30 razy...

K.SWITON: Dokładnie - 57 razy! A w moim mieszkaniu przeprowadzono 13 rewizji. Jedna - w dniu 10.XI.1979 roku - trwała 15 godzin, a udział w niej brało 12 funkcjonariuszy MO i SB. W tym czasie rozbierano meble i zrywano podłogi...

MY: I znaleźli to, czego szukali?

K.ŚWITON: Tak, w końcu znaleźli. Był to powielacz, ukryty w świetnie zamaskowanej skrytce pod podłogą.

MY: Powstanie w Katowicach Komitetu Wolnych Związków Zawodowych zrobiło duże wrażenie nie tylko na władzy. W dwa miesiące później - 30.IV.1978 - powstał Komitet Założycielski Wolnych Związków Zawodowych na Wybrzeżu. A więc jednak ktoś uznał, że Pana inicjatywa miała sens. Jak ułożyła się współpraca z tym Komitetem?

K.ŚWITON: Jak mówiłem, KOR nie poparł naszej inicjatywy. Nie wierzył w jej realność. Ale gdy mimo to powołaliśmy nasz Komitet, zmienili zdanie. Przekonali się, że to jednak dobra droga i w gruncie rzeczy - jedyna. Bardzo się z tego ucieszyłem. No i chyba - to zrozumiałe - dlatego, że nie byliśmy już sami. Kontakty z Gdańskiem utrudniała jednak SB, zatrzymując nas wielokrotnie, kiedy tam umiłowaliśmy się dostać. W Gdańsku byliśmy tylko dwa razy. Chcieliśmy wspólnie wydawać czasopismo związkowe, ale działacze KZ WZZ nie zgodzili się, gdyż ideologicznie różniliśmy się bardzo. Oni byli związani z KOR-em, a my - z ROPCiO. Oni wydawali "Robotnika Wybrzeża", a my "Ruch Związkowy". Notabene - redakcję i druk umieściliśmy w Łodzi, gdyż na Śląsku w owym czasie nie mieliśmy warunków, przede wszystkim ludzi, którzy potrafiliby robić pismo. Oczywiście KOR nas wtedy nie odrzucał, ale współpracę z nami uzależniał od naszego zerwania z ROPCiO. No i były jeszcze inne warunki, na które nie mogliśmy przystać. Np. podporządkowanie się ideologii KOR-u i realizowanie "polityki" zgodnie z ich linią i koncepcją działania. Odrzucenie tych warunków sprawiło, że z czasem ci z Wybrzeża patrzyli na nas nieufnie, uważając nas bądź za ukrytych współpracowników bezpieki, bądź forpocztę Kościółca. Rzecz w tym, że bezpieka nas bezwzględnie tępiła, a Kościół /ściślej mówiąc - biskup katowicki i jego współpracownicy/ odrzucał.

MY: Ale w końcu wszystko skończyło się dobrze. Był sierpień 1980. "Szaleństwo" się spełniło. Jak się Pan wtedy czuł?

K.ŚWITON: Pamiętam jak dziś. Był wtedy lipiec. Przebywałem wtedy na rodzinnej oazie w Krośniku. Pewnego ranka podszedł do mnie ks. Blachnicki - bardzo uradowany, mówiąc: "No widzisz, Kochany Kazimierzu, twoje marzenia zaczynają się spełniać!" W pierwszej chwili nie wiedziałem o czym mówi. Na oazie człowiek rozmawia z Bogiem a nie słucha radia. Orientując się, że o niczym nie słyszałem - ks. Blachnicki trzymał mnie przez chwilę w niepewności, aż wreszcie wyrzucił z siebie: "W Lublinie strajkują!" Wtedy padliśmy sobie w ramiona i cieszyliśmy się jak dzieci. Ale potem była cisza. Strajki wygasły. Wydawało się, że znów wszystko wróciło do normy. Byłem na pielgrzymce i właśnie w dniu jej zakończenia - 15 sierpnia - dowiedziałem się, że zastrajkowała warszawska komunikacja. Koledzy namawiali mnie, aby natychmiast pojechał do stolicy. Chciałem się jednak przedtem zobaczyć z żoną i dziećmi. Wróciłem do domu i tu dowiedziałem się, że zastrajkowała również Wybrzeże. Bez namysłu spakowałem trochę rzeczy i wyszedłem, aby pojechać. Przed domem czekał już jednak na mnie enbcey. Zamianst w Gdańsku znalazłem się w areście. Po 48 godzinach zwolnili mnie - z ostrzeżeniem, że w przypadku następnej próby wyjazdu dokądkolwiek zamkną mnie tym razem na dłużej. Podpisanie Porozumienia Gdańskiego oglądałem w telewizji. Był to najpiękniejszy moment w moim życiu. Już na drugi dzień postanowiłem udać się do wojewody, aby przydzielił naszemu Komitetowi lokal na legalną działalność Wolnego Związku Zawodowego. Ale i ta wyprawa skończyła się w komisariacie. Przed domem stała już milicyjna suka, do której mnie wepchnięto i wywieziono do Rytkonia. Następnego dnia do celi wszedł sam komendant i kazał mi wyjść. Ja jednak nie chciałem, przecież jeszcze nie minęło 48 godzin, które powinienem "obowiązkowo" odsiedzieć /nigdy nie wypuszczano mnie wcześniej/. Wówczas komendant zaczął mnie prosić, nawet błagać, żebym mu tego nie robił, bo on za niewykonanie rozkazu może zostać wyrzucony z pracy. To na to już przyszedło, że się mnie wyrzucił z aresztu? A gdzie te czasy, kiedy się mnie nie tylko zamykało, ale i sadziło /nawet za rzekome pobicie 4 milicjantów/ i do normalnego więzienia pakowało? No i wyszedłem. Ale jeszcze głupiej sprawa wyglądała, jak kilku milicjantów rzuciło się do mnie, aby mi pomagać w ubieraniu. Jeden sznurował mi nawet buty, inny czyścił szczerotkę spodnie. Nawet marynarkę podano mi jak w porządnej szatni. Dopiero na pożegnaniu wyjaśnił mi o co chodziło: "pana koledzy, którzy strajkują na kopalni "Wujek", zażądali uwolnienia pana"... A w nocy 3 września przyjechali po mnie robotnicy z Huty "Katowice", abym pomógł im zakładać Wolny i Niezależny Związek - Niezależny i

Samorządny. Wtedy jeszcze nie mówiło się o "Solidarności". No i nikt właściwie nie wiedział jak takie związki powinno się robić. Jedynym "specjalistą" byłem ja. No więc - pojechałem...

MY: Okres Pana współpracy z katowickim MKZ-tem jest znany. Skończył się konfliktem z Andrzejem Rozpłochowskim. Po krótkim okresie okazywania Panu specjalnych względów - był Pan potem przez niego i jego ludzi gwałtownie zwalczany. Ale i Pan zmienił do nich swój stosunek. O co właściwie poszło? Sądziemy, że dziś można już o tym mówić...

K. SWITON: Konflikt rozpoczął się jeszcze w grudniu, kiedy nasz MKZ-et otrzymał tylko jedno miejsce w delegacji "Solidarności" do Rzymu. Było dwóch moonych kandydatów na ten wyjazd, ale jak rozstrzygnąć sprawę, żeby wypadło sprawiedliwie? Postawiłem rzecz na ogólnym zebraniu delegatów naszego MKZ-et, a ci zdecydowali żeby losować. I szczęście dopisało mnie. Rozpłochowski czuł się urażony, a potem rozmawiał ze mną, prosił, żebym mu odstąpił to miejsce. Nie zgodziłem się, no i tak się zaczęło. A muszę dodać, że ówczesny Zarząd MKZ-et, składający się wyłącznie z pracowników Ruty, a więc kolegów Rozpłochowskiego. Zrozumiałem to szczególnie po powrocie z Rzymu. No, zaczęło robić wokół mojej osoby tzw. atmosferę. A wkrótce potem zaczęło mnie atakować. Przyczyną było moje stanowisko w sprawie połączenia naszych MKZ-etów i jastrzębskiego MKR-u. w jeden wspólny zarząd. Byłem za wyborem przewodniczącego połączonego regionu z grona nowego zarządu, a więc zająłem stanowisko sprzeczne ze stanowiskiem Rozpłochowskiego, który chciał połączenia, owszem, ale pod swoim kierownictwem. Do połączenia, jak wiemy, nie doszło. I nie ulega wątpliwości kto był za to odpowiedzialny. A poza tym nie bardzo odpowiadały mi układy personalne i stan organizacyjny MKZ-etu /zresztą - nie tylko mnie/. W związku z tym poparłem propozycję Artura Siebiewca, mające na celu usprawnienie pracy zarządu i zaprowadzenie w nim ładu. A ponieważ - co było zwyczajnym przypadkiem w kraju, uznano moje stanowisko za próbę "zamachu stanu". No i zaczęła się otwarta nagonka na moją osobę, bardzo niewybredna, prowadzona zwłaszcza na łamach "Wiadomości Katowickich". W tej sytuacji - złożyłem rezygnację z członka Zarządu. Nie mogłem po prostu przyjąć odpowiedzialności za działania, na które nie miałem wpływu. Z tymi ludźmi nie można już było współpracować. Im już chyba nie chodziło o "Solidarność". Ale to długa historia. Nie wiem czy warto o niej mówić. Może innym razem...

MY: Wiemy, że zawsze był Pan zwolennikiem małych kroków, ale skutecznych i posuwających cały ten ruch, który powstał, do przodu. Kiedyś, w wywiadzie dla "Ładu" /nr 11-12 z 31.V.81/, powiedział Pan: "Popieram metodę Lecha Wałęsy osiągania wszystkiego stopniowo, bez narażania związków na wstrząsy. Jednocześnie sprzeciwiam się nieodpowiedzialnemu sięganiu po strajk jako środek dla osiągnięcia drugorzędnych celów. Do strajku trzeba sięgać tylko w ostateczności".

K. SWITON: Tak, tak się wyraziłem, ale tak też myślałem i nadal myślę. Strajk powinien być bronią stosowaną tylko do osiągnięcia najważniejszych dla Związku celów. Konflikty drugorzędne powinny być rozwiązywane drogą negocjacji lub środkami prawnymi.

MY: Taktykę "małych kroków" stosuje Pan również dziś. Od stanu wojennego działał Pan i działa nadal bardzo rozważnie, co nie znaczy, że zrezygnował Pan z działań, które według powszechnej logiki niejako "z góry" skazane są na niepowodzenie. Przypomnijmy: 4.XII.1983 - usiłowanie przybicia pod krzyżem kołpalni "Wujek" /razem z Anną Walentynowicz/ pamiątkowej tablicy, zakończone długim aresztem i aktem oskarżenia. A w ubiegłym roku pod tym krzyżem wysunął Pan myśl utworzenia "chrześcijańskich związków zawodowych". Myśli Pan, że interesy ludzi pracy różnią się w zależności od wyznawanej religii?

K. SWITON: Myśl powołania chrześcijańskich związków zawodowych wysunąłem już wcześniej. Dokładnie - 31 sierpnia 1984 roku. I nadal uważam, że to dobra myśl. Nie jestem zresztą osamotniony w tym przekonaniu. Proszę zauważyć jak wspinali się rozwijają się u nas duszpasterstwa pracy, oczywiście - tam, gdzie pozwala się robotnikom takie duszpasterstwa tworzyć. To chyba o czymś świadczy. No i nie jest chyba sprzeczne ani z nauką społeczną Kościoła, ani z praktyką wielu krajów, ani z ideą "Solidarności". A jeśli chodzi o działania ryzykowne czy też uważane za nierealne, to - proszę wybaczyć - mam spory dyktans do tego, co "się" mówi i co "się uważa". Doświadczenie nauczyło mnie, że nawet najbardziej

pozornie "fantastyczne" pomysły okazują się realne i możliwe. Kto wierzył w "realność" Wolnych Związków Zawodowych w kraju komunistycznym w 1978 roku? Tylko tacy "fantaści" jak ja. Bo nawet Jacek Kuroń uznał to za urojenie niezgodne z zachodem. A przecież powstała "Solidarność". Niemożliwe stało się możliwe. Jak powiedział kiedyś Ben Gurion, tylko fantaści i ludzie oderwani od życia nie wierzą w cuda. Ja wierzę. I dlatego robię niekiedy rzeczy zdumiewające. Mam twardą głowę, ale nie walę nią w mur nie wierząc, iż go rozwalę.

MY: Przyczynił się Pan w dużej mierze do powstania "Solidarności". Wiemy jednak co się zdarzyło. I wiemy jak jest. Czy - Pana zdaniem - jest jeszcze szansa na odrodzenie naszego Związku i nowy rozwój ruchu pod jego nazwą? Co dziś dla Pana znaczy "Solidarność"?

K.SWITON: Wydarzenia nauczyły nas wiele, ale myślę, że nie wszystkich. Nadal są działacze, którzy uważają, że tylko oni mają rację i że tylko oni się liczą. To mnie martwi, bo wielu z nich, nie zdając sobie z tego sprawy, już dawno przegrali - i to nie tylko dlatego, że generał ich pozbawił dawnej pozycji. Wyeliminowali się, bo reprezentowali i reprezentują nie ten styl i nie ten rozum, który jest potrzebny dzisiaj. Nastąpiło też spore zróżnicowanie postaw i koncepcji działania, co sprawia, że jesteśmy dziś bardziej rozbici niż dawniej. Myślę jednak, że nadal łączy nas wszystkich wspólne dążenie do wolności, sprawiedliwości, ludzkich stosunków w naszej wspólnej ojczyźnie. I to jest ten kapitał moralno-polityczny, który się nie zdewaulował, przetrwał, wytrzymał próbę czasu. No i wiemy już jak się "to" robi. Osobiście cierpię nad tym, że nie mamy wyraźnego programu na dziś i na jutro. "Amnestia" z 1986 roku zrobiła swoje. Myślę jednak, że - mimo swego rodzaju rozbicia - zjednoczymy się w tym, co najważniejsze. Żeby tylko nie dać się zwariować i wpuścić w maliny przez władzę, która wprawdzie nie zamyka ludzi masowo, nie bije i nie strzela, ale stosuje broń o wiele groźniejszą, bo nacelowaną na naszego dacha i nasze morale. Niech "liberalizm" władzy nikogo nie zmyli. Boję się, że władza zgodzi się na pluralizm związkowy wtedy, gdy już nie będzie wielu "pluralistów". Myślę jednak, że w końcu my będziemy mądrzejsi i ostatecznie my wygramy. Będzie więc "Solidarność" i odrodzi się ten wielki wspaniały ruch, który już raz zjednoczył naród. Ale później będzie... normalnie. A więc - spolaryzuje się i ruch i naród. Powstaną niezależne związki zawodowe, w tym również chrześcijańskie, inspirowane przez naukę społeczną Kościoła, kluby i partie polityczne, stowarzyszenia. A więc - sytuacja zdrowa, bez monopolu określonej partii, ale i bez monopolu jednego związku. Tym fundamentem będzie jednak "Solidarność". Stąd m.in. znaczenie, jakie do niej przywiązuję, pomijając już oczywiście względy emocjonalne.

MY: Najbliższe plany, jeśli można o nich mówić? No i jak ocenia Pan nasze szanse?

K.SWITON: Oczywiście, nadal będę głosić moją ideę chrześcijańskich związków zawodowych. Głosząc ją - nadal jednak jestem w "Solidarności" i z "Solidarnością". O ten związek, o ten ruch musimy wszyscy walczyć. Jeśli jednak okaże się, że chrześcijańskie związki będą miały większą szansę legalizacji - pójdę na tę legalizację. Ryby to na pewno "mały krok" naprzód. Znaczy to zarać, że nie zgłoszę sprzeciwu, gdyby ktoś chciał powołać inne. Ryle to były naprawdę wolne i niezależne. A resztę rozstrzygnie życie. Ja przecież nie twierdziłem i nadal nie twierdzę, że mam patent na szczęście i pomyślność ludzkości. Chciałbym jednak, żeby mój punkt widzenia był uszanowany przez innych. Szanse mamy duże.

MY: Dziękujemy za rozmowę.

Redakcja "JESTESMY"

FILM O WALEŚIE

Jak się dowiadujemy, już niedługo amerykańska wytwórnia filmowa "Columbia" przystąpi do realizacji filmu fabularnego o życiu Lecha Wałęsy. Film reżyserować będzie Stanley Kramer, twórca m.in. "Wyroku w Norymberdze" i "Ostatniego brzegu".

NOWE WERSZE KAZIMIERZA J. WĘGRZYNA

Niedawno Oficyna Śląska wydała zbiór wierszy Kazimierza J. Węgrzyna pt. "Czarne kwiaty". A oto nowe wiersze tego poety...

BŁAZEŃSKA CZAPKA

nikt nie przyjdzie i cudu nie sprawi
z kapelusza ci Polski nie wyjmie
trzeba krwawo dziś usta zacisnąć
może naszą ofiarę znów przyjmie

nie liczymy na tych czy na tamtych
bo nie miska jałmużna dziś dzwoni
lecz ta czapka błazeńska czerwona
tak boleśnie nas gniecie u skroni

nikt nie przyjdzie i cudu nie sprawi
w naszej krwi grają Rogi Złote
trzeba tylko je w żyłach napiętych
zbudzić wiarą jak dzwoniącym młotem

POWOŁANIE

mój naród się nie podda i nie zegnije karku
stulaliśmy - kolan nigdy nie zabrudzi - drżeniem
upomni się o swoje - gdy nadejdzie pora
choćby milczał przez lata grobowym milczeniem

i kiedy co dzień wstaje z szarą smutną twarzą
bo nocą trzeba łątać ciężki krótki dzień -
to chociaż okrojony aż po bliźnię serca
w nim ciągle będzie żywy o potęgze sen

pójdę w pierwszym szeregu - to mój obowiązek
choć płatać będą ścieżki u skrwawionych nóg
chcę wypełnić do końca trudne powołanie
aby świecić próchnem kości u wierzbowych dróg

NIE WSTYDŹ SIĘ...

nie wstyd się mówić - serce
dla nich to nadmiar patosu
nie wstydź się mówić - Polska
jeśli to sens twego losu

nie wstydź się mówić prosto
na przekór pokrętnym słowom
nie milcz podstępny milczeniem
jeśli cię słowa bolą

nie wstydź się zgrzebnej wiary
tak szarej jak twoja ziemia
to z niej wyrasta najgrubsza
gałąź naszego istnienia

DRWIĄ...

drwią - że romantycznym się okrywam płaszczem
że wkrzeszam - co odeszło - w przeszłość bezpowrotną
kundlom szczerkać przystoi za plecami pana
zanim do nich z dymiącą - tłustą kością dotrą

drwią - ale taką drwiną dodają mi siły
bo wówczas jestem pewien - że skarleli w bledzie
i gorzka jest świadomość tego co przed nimi
dźwiga brudną chorągiew - jak szmatę na przedzie

drwią - że romantycznym się odurzam dymem
że żyję bezpowrotnie już przebrzmiałą sławą
lecz jeszcze nie sprzedałem jak dotąd wolności
nie wystarcza mi ochłap - i spokój pod ławą!

Wiersze drukujemy
bez wiedzy i zgody Autora

Andrzej Sagt

O CALONY UMYSŁ

Problem "czystych rąk" pisarzy - i artystów w ogóle - raz po raz pojawia się w rozmowach i publicystyce. Zwłaszcza młodzi ludzie stawiają pytanie: jak to było możliwe, że spora ilość pisarzy zapisała się po II wojnie do partii i opowiedziała po stronie systemu komunistycznego, oddając się na usługi dyktatorskiej władzy. Nazwisk nie będziemy wymieniać, aby nikogo nie urazić. Rzecz jeszcze dziwniejsza: ci, którzy jednak smadzeli przechodząc w końcu na stronę narodu, do dziś nie wytłumaczyli motywów tamtych decyzji i działań. Nie wszyscy jednak zabrudzili ręce. Staff, Szaniawski, Zawieyski, Małewska, Gołubiew - by wymienić najbardziej znanych - zachowali wierność kulturze i moralności cywilizowanego świata. A z młodszych - także Zbigniew Herbert. O nim właśnie pisze autor, opierając się na książce Barańczaka, poświęconej temu wybitnemu poecie. Zachęcamy do lektury!

PRZEDMOWA:

Czym jest poezja, która nie ocala
Narodów ani ludzi?

Wspólnictwem urzędowych kłamstw,
Piosenką pijaków, którym za chwilę ktoś poderżnie gardło,
Czytanką z panińskiego pokoju. /C.Miłosz/

POTĘGA SMAKU:

To wcale nie wymagało wielkiego charakteru
nasza odmowa niezgoda i upór
mialiśmy odrobinę koniecznej odwagi
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku

Tak smaku

w którym są włókna duszy i chrząstki sumienia /Z.Herbert/

Książka Stanisława Barańczaka "Uciekinier z Utopii - o poezji Zbigniewa Herberta" w normalnym kraju stałaby się powodem ożywionej dyskusji, podważa bowiem sporo dotychczasowych opinii krytyki, wnosząc równocześnie nowe elementy do naszego rozumienia poezji Herberta. Jest zatem dziełem podwójnie ważnym: jako studium poetyki autora "Struny świata" i jako diagnoza życia /nie tylko literackiego/ w PRU-u. Zamiarem naszym jest skupienie uwagi na drugim z wyróżnionych tutaj aspektów "Uciekiniera z Utopii", dedykowanego Adamowi Michnikowi. Zorówny przedmiot, jak i metody analizy obrane w nowym tekście krytycznoliterackim Barańczaka wydać się mogą trochę zaskakujące. Zwłaszcza lepiej zorientowanemu czytelnikowi, który dobrze pamięta odmienne tradycje literackie początkowego dorobku poetyckiego twórcy "Korekty twarzy" /1968/, "Jednym tochem" /1970/ czy "Dziennika porannego" /1972/. Potwierdzeniem współuczestnictwa Barańczaka /ur. w 1946 roku/ w tworzeniu i objaśnianiu lingwistycznie zorientowanej poezji jest też rozprawa doktorska "Język poetycki Mirona Białoszewskiego" /1974/. Nie oznacza to wszak, że poeta nie interesował się drugim znaczącym nurtem współczesnej liryki polskiej. Świadectwem tych zainteresowań są zbiory krytyczne: "Nieufni i zaufani - Romantyzm i klasycyzm w młodej poezji lat sześćdziesiątych" /1971/, "Ironia i harmonia - Szkice o najnowszej literaturze polskiej" /1973/. Ale nade wszystko tomiki poetyckie oraz krytyki publikowane w krajowym obiegu poza cenzurą i za granicą: "Ja wiem, że to niesłuszne" /Paryż 1977/, "Sztuczne oddychanie" /Londyn 1978, Kraków 1980/, "Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu" /Kraków 1981, Paryż 1982/ i "Etyka i poetyka" /Paryż 1979/. Nawet niepełna rekapitulacja dorobku Stanisława Barańczaka uwidacznia pewien charakterystyczny rys jego poezji. Jest nim stałe napięcie intelektualnych przesławień racjonalistycznych i niezłomnej determinacji moralnej. Ślady tych zmagania obecne są w obydwu książkach poświęconych najwybitniejszemu poetom tworzącym w kraju. O ile jednak centralnym problemem poezji Mirona Białoszewskiego była dla Barańczaka semiotyka języka poetyckiego, to w dziesięć lat później za podstawowy wzorzec strukturalny poezji Zbigniewa Herberta uznał wzajemną demaskację "dwa zespołów antynomicznych wartości i dwu typów rzeczywistości: "dziedzictwa" i "wydziedziczenia" /s.73/.

Białoszewski i Herbert. Poetyka strukturalna i traktowana nieufnie teoria archetypów. Czy dają się one uzgodnić w obrębie jednej biografii intelektualnej, w procesie konstruowania spójnego tekstu krytycznego? W "Uciekinierze z Utopii" rozważa bowiem autor "Sztucznego oddychania" nader zróżnicowane kwestie: świat wyobraźni i świat wartości, sposób użycia metafory oraz ironii, wreszcie problem autora wewnętrznych poetyckich tekstów Zbigniewa Herberta. Roztrząsanie podobnych wątpliwości nie ma tu większego sensu, ponieważ rezultaty tych analiz wydały się w ogromnej skali przekonujące. Więcej jeszcze. W naszej perspektywie odbioru praca Barańczaka jawi się jako ważki fakt kulturowy. Nie tylko dlatego, że ujawnia szereg nieporozumień i zafałszowań recepcji twórczości Herberta w społecznych obiegach komunikacyjnych. I to zafałszowań dokonujących się zarówno w obrębie elit kulturalnych, jak i w obiegu masowym, żywiącym się stereotypami krytyki oficjalnej, ale także wielbiącym Pana Cogito po swojemu, podług indywidualnych zapotrzebowań. Przede wszystkim dlatego, że w "Uciekinierze z Utopii" odczytujemy - z nadzieją nie fałszowania jego intencji - spóźnioną, lecz konieczną replikę "Zniewolonego umysłu" Czesława Miłosza.

Przenikliwa i dająca do myślenia książka Stanisława Barańczaka dostarcza dowodów na to, że curriculum vitae i dokonania artystyczne Zbigniewa Herberta stanowią wyrazisty anty-wzór poczynąń oraz spełnień Alfry, Bety, Gammy i Deltę osądzonych traktatem politycznym Miłosza. Przeciwnie do tego znajdują oparcie w najbardziej oryginalnych partiach dzieła Barańczaka: "Antynomie", "Demaskacji" i "Ironie". Wyróżnione rozdziały zawierają serie analiz kluczowej zasady twórczości Herberta. Zdaniem Barańczaka, jest nią stałe konfrontowanie i wzajemna demaskacja obszaru "dziedzictwa" z obszarem "wydziedziczenia". Przekonanie o replikowym charakterze "Uciekiniera" nasunęła nam opinia jego autora o "moralistycznej roli poezji Herberta, kontynuującej tradycję duchowego oporu inteligencji wobec opresyjnych systemów politycznych" /s.29/. Sądzimy, iż dobrze oddaje ona globalny sens dzieła Herberta w ujęciu Barańczaka. Rzeczelne studium Stanisława Barańczaka niweczy krytyczne rewelacje Stefana Melkowskiego, zarzucającego Herbertowi np. "arystokratyczny heroizm niezbrakanych rąk" i odmowę uczestnictwa /zob. "Poezja" 1975, nr 7-8/. Lektura "Uciekiniera z Utopii" w sposób oczywisty przekonuje o tym, że "niezbrukane" ręce Zbigniewa Herberta są efektem heroizmu wielorakiej "odmowy uczestnictwa" /człowieka i artysty/ we wspólnocie wydziedziczających.

ODMOWA ŚWIATOPOGLĄDU

Ten rodzaj odmowy globalnej nosi w sobie załamki wszystkich pozostałych. Zrodziły go dwa totalitaryzmy: faszyzm i sowiecki komunizm, które w fatalny sposób zaciążyły nad współczesnymi dziejami narodu polskiego. Zbigniew Herbert, urodzony 29 października 1924 roku we Lwowie, gdzie jego ojciec był dyrektorem banku i profesorem ekonomii, przeciwstawił się faszyzmowi jednoznacznie, biorąc udział w AK. W tym samym czasie studiował polonistykę na tajnym uniwersytecie. Początki jego sprzeciwu wobec komunistycznych podbojów i uzurpacji mają równie historyczny rodowód. W wieku piętnastu lat - zauważa Stanisław Barańczak - "Herbert przeżył zagarnięcie jego rodzinnego miasta przez Związek Sowiecki, jedno z dwóch mocarstw dokonujących - na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow - rozbioru niepodległej Polski. Dla samego Herberta doświadczenie to jest niezwykle istotne w planie zarówno biograficznym, jak poetyckim: jako lwowski uczeń decyduje się założyć w szkole sprzysiężenie "Biały Orzeł", które "szybko przyłapano - stąd jego pierwsze zetknięcie z machiną policyjną totalitarnego państwa" /s.19/. Spotkanie drugie nosi już piętno tragiczne - stryj poety zamordowany zostaje w Katyniu. Następne fazy obrony Herberta przed totalitarną indoktrynacją przypadają na lata nauki i ciężkiej pracy w kraju po 1944 roku. Herbert nie poprzestał na zdobyciu tytułu magistra ekonomii /Kraków 1947 r./, lecz dalej zgłębiał wiedzę prawniczą w Warszawie i filozoficzną w Toruniu pod kierunkiem profesora Henryka Elzenberga. Niezłomny autor "Człowieka i wartości" oraz "Kłopotu z istnieniem" trwale ukształtował moralny format przyszłego poety. Drugą świadomą wybraną ostoją ideowej niepodległości Zbigniewa Herberta stało się krakowskie środowisko "Tygodnika Powszechnego", gdzie zamieszkał swoje pierwsze utwory. Wybór niemarksiistowskiego filozofowania i katolickiego kręgu kultury zdecydowanie odróżnia Herberta od jego niemal rówieśnika Tadeusza Borkowskiego. Czyli Bety ze "Zniewolonego umysłu".

Nieprzełknięty człowiek i artysta, Borowski dokonał wyboru typowego. Jak wielu inteligentów rozczarowanych ustrojem przedwójniowej Polski - postawił na diament /dialekty/ i dostąpił szczytów dwuznacznej popularności.

ci wśród rządzącej partii. Z własnej woli stał się też fanatycznym wyznawcą i celebrazem nowej religii, dysponującej nowym zasobem naukowo objawionych dogmatów. Dostarczały one gotowych klisz pojęciowych i dyrektyw działania praktycznego, na które ta wersja materialistycznego światopoglądu kładzie nacisk szczególnie. Bo jak wiadomo - "filozofowie rozmaicie tylko i n t e r p r e t o w a l i świat: idzie jednak o to, aby go z m i e n i ć" /zob. K. Marks, "Tezy o Feuerbachu"/ - oraz "idealizm - to klechostwo" /zob. W. Lenin: "Co to jest materia? Co to jest doświadczenie"/. Wulgarna koncepcja takiego światopoglądu służyła instrumentalnym celom. Ułatwiała bowiem proces kolektywizacji świadomości wielkiej rzeszy neofitów, podległych rządowi partyjnym w krajach ludowych demokracji. W zasadniczym sporze z tą wersją światopoglądu pozostaje światopogląd krytyczny, którego aż do znudzenia domagali się w polskiej literaturze i życiu społecznym Witkacy i wcześniej Stanisław Brzozowski. Ofiarą takiego właśnie konfliktu światopoglądów padł Beta, kiedy odkrył głębię własnej pomyłki. Epistemologiczną tragedię wybitnego prozaika dobrze komentuje przejmujący wiersz Czesława Miłosza "Na śmierć Tadeusza Borowskiego":

Borowski zdradził. Uciekł tam gdzie mógł.
Przed sobą widział gładką ścianę wschodu,
Za sobą mury polskie Ciemnogródu.
Co może wtedy człowiek? /.../
Ludzi ocalić. Dać im niebo czyste
I ład na ziemi. Dać im umysł jasny.
Nad kraj ubogi, nad Wartę i Wisłę
Wzniesć łuki światła i strzec, by nie zgasły.
Ludzi ocalić i za to marzenie
Jest obrachunek. S z t y l e t b y ł z a t r u t y /.../
Więc gaz otworzył i twarszą do ściany
Odwrocił się i w mroczne wieki minął.

W tym samym czasie mało komu znany Herbert biedował na obrzeżu katolickim głównego nurtu polityki kulturalnej czasów stalinowskich. Z odrębnych doświadczeń bytowania niepolitycznego formował własny światopogląd rozumiany jako logicznie spójny skład etycznych i estetycznych oraz poznawczych zasad, które pomagają porządkować wzajemne interakcje idei i materii, jednostki i społeczeństwa, minionej i mającej kultury. Podkreślił jeszcze, iż autor "Barbarzyńcy w ogrodzie" próbował ocalić moralny ład świata, w którym przyszło mu żyć, od początku rezygnując z ponętnych ofert jakiegokolwiek światopoglądowej Utopii. Koszty tej rezygnacji wliczamy jednak w rubrykę drugiej z kolei odmowy.

ODMOWA PRAKTYCZNEGO "REALIZMU"

Temu aspektowi biografii Herberta poświęcił autor "Uciekiniera z Utopii" wiele uwagi. Odsłania on bowiem dotkliwe działanie mechanizmów konfrontacji "obszarów dziedzictwa" i "wydziedziczenia". Uporczywa pielęgnacja duchowej niezależności stała się przyczyną kłopotów Herberta. Również tych najbardziej elementarnych. Dramatyzm jego położenia oddają fragmenty dziennika Leopolda Tyrmanda z 1954 roku: "Po południu był u mnie Herbert. To jeden z najlepszych moich współczesnych /.../. Oczywiście, cierpi nędzę. Zarabia kilkaset złotych miesięcznie jako kalkulator-chronometrzysta w spółdzielni produkującej papierowe torby, zabawki czy pudełka. Pogoda, z jaką Herbert znosi tę morderczą po ukończeniu trzech fakultetów, jest wrost z wczesnochrześcijańskiej haglografii. Ta pogoda, to precyzyjnie skonstruowana maska: kryje się za nią rozpacz człowieka, który boi się, że przegrał życie w niepoważnym pokerze historii, w którym stawką były ideologiczne przywiązania i honory" /cyt. za Baranczakiem, s.20/. Cierpiał nędzę, ponieważ zgrzeszył brakiem dostatecznego poczucia praktycznego "realizmu". Innymi słowy: odmówił uczestnictwa w utwierdzeniu Nowego. Uczestnictwa, w którym zawierałoby się bodaj przyzwolenie. Mniej skrupulatny "Alfa, czyli moralista" Jerzy Andrzejewski w 1948 roku był już posiadaczem nagrody państwowej i willi, którą ofiarowało mu - pozwólmy sobie na imitację stylu mecenasa - socjalistyczne społeczeństwo w dowód wdzięczności za zrozumienie racji stanu. Natomiast bardziej zasłużony "Gamma czyli niewolnik dziejów" - Jerzy Putrament - rezydował w paryskim pałacu jako ambasador Ludowej Polski.

Umiejętnie stosowany "realizm" praktyczny zapewnia zaszczyty i beneficja obwarowane zaledwie nakazem dobrej obsługi "życzeń" władzy. Ułatwia on swoim adherentom nagłe zmiany stanowisk i godzenia krańcowych przeciwieństw. Dzięki niemu osiąga się najdalej posunięte kompromisy. Dlatego też nadzwyczaj często

dyskretni zwolennicy i jawni praktykanci tego "realizmu" zostają oportunistami. To oni najskrzętniej zabiegają o najbardziej intratne miejsca w orszakach tyranów. W różnych epokach nazywają siebie akolitami, utylitarystami, zaangażowanymi ... imię ich legion. To oni uszuźnie kleją fikcyjne fronty narodowej jedności, patriotycznych odrodzeń lub sojusznicznych stronnictw. Przed takimi konsekwencjami praktycznego "realizmu" uczciwi ludzie bronią się obywatelskim nieposłuszeństwem, zaś niepokorni artyści - ironią. Na tym miejscu godzi się zauważyć za Konfucjuszem: "Jeżeli państwem rządzi zasada rozsądku, bieda i niedola są hańbiące; jeśli państwem nie rządzi zasada rozsądku, hańba są bogactwa i honory". Znany Herbertowi amerykański transcendentalista Henry Dawid Thoreau znakomicie tę myśl w "Obywatelskim nieposłuszeństwie" z 1849 roku rozwinął. Za podstawową regulację narodów, społeczeństw i państw uznał on prawo moralne, za główny zaś obowiązek sprawujących władzę - zagwarantowanie obywatelom największych swobód. Strażnikiem tych swobód powinno być przy tym sumienie, a nie prawo państwowe. To drugie bowiem w nikłym tylko stopniu czyni ludzi bardziej sprawiedliwymi. Według Thoreau, rządy i egzekwowane przez nie prawa mają jednakową naturę: zmuszają obywatela, by stał się narzędziem niesprawiedliwości wobec drugiego człowieka. Z istoty tak kierowanego państwa wynika niemożność zaradzenia złu, ponieważ państwo "nigdy celowo nie staje twarzą w twarz z ludzkim umysłem - ani intelektem, ani moralnością - ale tylko z ciałem i ze zmysłami. Nie jest uzbrojone w rozum ani uczciwość wyższego rzędu, lecz w większą siłę fizyczną. Nie urodziłem się po to, aby ktoś mnie zniewalał /.../. W takim państwie, w którym rząd niesprawiedliwie więzi ludzi, jedynym miejscem odpowiednim dla sprawiedliwego człowieka jest także więzienie /.../. Kiedy obywatel odmawia posłuszeństwa, a urzędnik rezygnuje z posady, wówczas dokonuje się rewolucja. I choćby nawet polała się krew, to czyż nie leje się ona wtedy, gdy zadaje się ciosy świadomości? Przez ranę w niej wypływa prawdziwe człowieczeństwo i nieśmiertelność człowieka" /zob.: "Tworczność" 1981, nr 4, ss. 96, 93/. Właśnie ciosy zadawane świadomości odpierał obywatel Herbert, odmawiając posłuszeństwa w latach stalinizmu i w grudniu 1975 roku, kiedy podpisał "Memoriał 59" intelektualistów protestujących przeciwko planowanym poprawkom do konstytucji. I na początku 1981 r., kiedy wchodził w skład kolegium redakcyjnego kwartalnika "Zapis", ukazującego się poza obiegami oficjalnym. Pieczołliwe zebranie tych informacji o Herbercie-człowieku jest także niemająką zasługą Stanisława Barańczaka. Odszanią ją one szerszemu ogłowi wielbicieli Pana Cogito mało albo całkiem nieznane szczegóły pełnej utrapień, lecz godnej drogi życia jego twórcy.

Pora teraz zapytać o to, jak Herbert-poeta chroni świadomość moralną i jak opiera się konformizmowi? Wyczerpującej odpowiedzi na pierwsze z tych pytań udzielił Barańczak trzecim rozdziałem "Uciekiniera z Utopii", który zatytułował: "Demaskacje". Zgadamy się z jego autorem, kiedy zauważa, że światem wyobraźni i światem idei Herberta rządzi kluczowa antynomia "dziedzictwa" i "wydziedziczenia". Wokół niej narastają systemy korelacji znaczeniowych: od symbolicznych słów-kluczy aż po - obarczone również symbolicznym sensem - ogólne kategorie etyczne-estetyczne oraz typy bohaterów literackich" /s.72/.

Zadną miarą nie mieści się natomiast w ramach naszej lektury "Uciekiniera" ani dzieł Herberta następna opinia Stanisława Barańczaka, zamieszczona na tej samej stronicy Demaskacji: "Na takim właśnie zawieszaniu p o m i ę d z y obszarem dziedzictwa , a obszarem wydziedziczenia polega specyficzna pozycja autora wewnętrznego w poezji Herberta. Jest to portret człowieka wydziedziczonego z wartości, wyganego z Raju - ale człowieka, który jest przy tym boleśnie świadom tego, co stracił, i który z utratą swego dziedzictwa nie pogodził się nigdy" /s.72/73/.

Z opinią tą zgodzić się trudno z kilku powodów. Najpierw dlatego, że zdecydowanie finalistyczny sens "wydziedziczenia" zastąpić należy bardziej adekwatnym wydziedziczeniem, akcentującym procesualność, niezakończoność, a więc niepełny sukces wydziedziczających. Potem także dlatego, że autora wewnętrznego poezji Herberta częściej aniżeli p o m i ę d z y widzimy p o s t r o n i e "dziedzictwa", powtarzającego z uporem "stare zaklęcia ludzkości, bajki i legendy". Po trzecie wreszcie dlatego, że nie "jest to portret człowieka wydziedziczonego z wartości", który nigdy nie pogodził się ze stratą. Z rozlicznych tekstów poetyckich Herberta m r u g a do nas przecież uparty przechoch, który oddaje pozor, by ocalić istotę: wolności, pokory, godności, piękna, rozumu, sprawiedliwości etc. "Choćby za to miał spaść bzcenny kapitel ciała - głowa".

Cóż można do tych słów jeszcze dodać? Może publiczną deklarację Zbigniewa Herberta z pikantnych dzisiaj łam "Polityki" /1972, nr 9/: "Wymyśliłem sobie

taką praktyczną, prywatną moralną dyrektywę: jeśli masz dwie drogi do wyboru, wybieraj zawsze drogę trudniejszą dla ciebie. A poza tym wierzę, że są rzeczy piękne i brzydkie, dobre i złe, szlachetne i podłe. I biada takim strukturom, w których te granice zostaną zatarte w imię czegośkolwiek". Wyrafinowany eurydyta nie zagłuszył w nim wiary w mądrość ostatniej woli Sokratesa i wersetu Pisma, które nakazuje uczynić podobny wybór, jeżeli chce się żyć w pamięci kultury /wieczności/ zachować. A jest to, powinna być, obsesja każdego autora. Także zewnętrzny, rzeczywisty i wybitny, który w rozmowie z Adamem Michnikiem ujawnił ją explicite: "Ja jestem przeciwko pragmatycznej zasadzie, że trzeba tylko wykonywać jakieś zadania celowe, dążyć do celów osiągalnych /.../ podejmuje się walkę nie dla wygranej, bo to by było zbyt łatwe, i nie tylko dla samej walki, ale w obronie wartości, dla których warto żyć i za które można umrzeć" /zob.: "Płynięcie się zawsze do źródła pod prąd, a z prądem płyną śmiecie", "Krytyka" 1981, nr 8, /s.49/. W poezji Zbigniew Herbert broni się przed konformizmem najprzód obiektywizacją problemu, potem dystansem formy. Zjawisko to zdaje się fascynować poetę, który bez uprzedzeń i bez sympatii śledzi jego historyczne przejawy i realne walory. Konformizm jako temat - ograniczony jedynie rygorami struktury poetyckiego tekstu - często bywa przedmiotem roztrząsań i dwuznacznego podziwu Herberta. Na przykład wtedy, gdy Pan Cogito opowiada o kuszeniu Spinozy:

kiedy Spinoza zamilkł
rzecze Bóg
- mówisz ładnie Baruch
lubię twoją geometryczną łacinę
a także jasną składnię
symetrię wywodów
pomówmy jednak
o Rzeczach Naprawdę
Wielkich
- popatrz na twoje ręce
pokaleczone i drżące
- niszczysz oczy
w ciemnościach
- odżywasz się źle
odziewasz nędznie
- kup nowy dom
wybacz weneckim lustrom
że powtarzają powierzchnię
- wybacz kwiatom we włosach
- pijackiej piosence
- dbaj o dochody
jak twój kolega Kartezjusz
- bądź przebiegły
jak Erazm
- poświęć traktat
Ludwikowi XIV
i tak go nie przeczyta

Oto wybitne, historyczne lekcje praktycznego "realizmu", skwapliwie przetwarzane przez licznych poprzedników Alfę bądź Gammy. Zauważmy przy tym, jak umiejętnie unika Herbert patosu, deliberując nad starożytną niedolą cnoty. Tak nie-miłosierdzie zbanalizowaną w literaturze zaangażowanej dydaktycznie albo sentymentalnie. Spostrzeżenia te skłaniają nas do bardziej syntetycznego wniosku: w planie aksjologicznym poetyckie ironie twórcy "Pana Cogito" spełniają identyczne role, jak i jego "nierealistyczne" decyzje życiowe. Są przekorną techniką obrony wartości, a nie ich umniejszaniem bądź relatywizacją. Dowiedli tego na przykład: J. Kwiatkowski, J. Błoński, K. Dybciak, K. Dedecius. Także Stanisław Barańczak, który w swojej egzegezie "Ironii" sprobując i polemicznie do tych dowodów nawiązuje. Ów specyficzny rodzaj konfirmacji świadomości moralnej przynosił Herbertowi dwójakie profity. Z jednej strony potęgował odrębność jego wyobraźni poetyckiej i doskonałą zwieżłość stylu. Z drugiej natomiast - strzegł

przed zabójczą dla artysty uległością wobec zadekretowanych oficjalnie norm i zobligowań estetycznych.

ODMOWA KONFORMIZMU ESTETYCZNEGO

Zanim przedstawimy opinie Stanisława Barańczaka dotyczące powyższej materii, odwołajmy się do następującego świadectwa Czesława Miłosza ze "Zniewolonego umysłu": "Pozycja pisarza w demokracjach ludowych jest bardzo dobra. Pisarz może tam poświęcić się wyłącznie pracy literackiej, która przynosi mu dochody co najmniej równe pensjom najwyższych dygnitarzy. Jednak cena, jaką musi płacić za to wolne od trosk materialnych życie, jest moim zdaniem nieco za wysoka" /s.8/. Identyczne przekonanie żywić musiał także Zbigniew Herbert. Traktuje o tym zarówno początek /"Nieporozumienia"/ jak i koniec /"Imponderabilia"/ książki Barańczaka.

Herbert podjął próbę udziału w życiu literackim powojennej Polski na początku lat pięćdziesiątych, kiedy bardzo wąsko pojmowany pluralizm polityczny stwarzał szanse jakiejś takiej niezależności. Jednakże nasilenie kampanii urzędowo zadekretowanego socjalistycznego realizmu /w styczniu 1949 r. na szczecińskim IV Zjeździe Związku Literatów/ postawiło debiutanta w sytuacji koniecznego wyboru. Albo - dyktowana względami praktycznego "realizmu" - akceptacja Nowego Etapu, dająca okazję uzyskania przywilejów na upaństwowionej giełdzie literackiej. Albo świadoma odmowa uczestnictwa w procesie stalinowskich wynaturzeń politycznej i literackiej kultury w Polsce. Moralista Alfa ze "Zniewolonego umysłu" rozstrzygnął ten zgoła manichejski dylemat publikując ideowo-estetyczny katechizm socrealizmu: "Partia i twórczość pisarza" /1952 r./. Herbert wybrał odmowę. Bez zbędnych uzasadnień, ale ze świadomością jej ponurych konsekwencji. W rozmowie z Adamem Michnikiem nadał temu gestowi kształt kategorycznego imperatywu moralnego stwierdzając: "Miałem absolutne poczucie, że zginę, ale nie pójść na łatwinę czy jakąś współpracę. Sam wystąpiłem wtedy ze Związku Literatów, nikt mnie nie wyrzucał" /s.52/. W 1951 roku, w starych, wesołych, niezupełnie minionych czasach stalinowskich było to niemal publiczne autodafe. W praktyce oznaczało ono całkowitą eliminację z oficjalnego rynku literackiego. Aż do roku 1955, kiedy go na ten rynek wprowadzono ponownie w roli rzekomego debiutanta. Pokoleniowe, cenzuralne i taktyczne okoliczności tego debiutu precyzyjnie tłumaczy Stanisław Barańczak w pierwszym rozdziale pracy. W rzeczywistości "Nieporozumienia" bywały częstokroć brakiem zrozumienia twórczości Herberta przez krytyków. Nawet wybitnych. Wynika ono ze skrzywienia perspektywy odbioru. "Umieszczenie biografii poety na tle politycznej i kulturalnej historii współczesnej Polski" /s.22/ okazało się bardzo szczęśliwym zabiegiem autora "Uciekiniera z Utopii". Pozwoli bowiem nie tylko lepiej zrozumieć sensy Herbertowego dzieła, lecz także uniknąć błędu fałszywej perspektywy tym wszystkim, którzy "Uciekiniera" zapią. Oby ich było jak najwięcej!

Wysoko ocenić trzeba też próbę rozwikłania kwestii "klasycyzmu" Zbigniewa Herberta. Barańczak twardo i mądrze obstaje przy tezie, że twórca "Hermesa, psa i gwiazdy" tyleż samo jest klasycystą, co dociekliwym eksploratorem i kronikarzem współczesności. Dość przekonująco wyglądają jego polemiki z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem i Ryszardem Przybylskim jako głównymi promotorami klasycyzmu poezji Herberta. Chociaż naczelnym walorem owej refutacji klasycyzmu wydaje się być ostrożna formuła mediacyjna. Głosi ona, że "Herbert unika sytuacji granicznych w planie estetycznym, nie unika ich natomiast - ba, nawet je prowokuje - w planie etycznym swojej twórczości. Jego poezja to wizja tragiczna" zrelacjonowana klasycznym stylem /s.17/. Koncepcję tę Barańczak wywodził po części od Murray'ego Kriegera. Trudno przecie uczynić z niej podstawę wiedzy pewnej /jak to w humanistyce/ o tym, czym był Herbertowski klasycyzm w okolicach 1956 roku i potem. Zestawmy na przykład takie tytuły: "Dlaczego klasycy" - "Próba rozwiązania mitologii" i bardziej jeszcze czytelną parę "Trzy studia na temat realizmu" - "Do pięści", "Ornamentatorzy", "Pieśń o bębnie".

Zabawmy się teraz na sposób heurystyczny. Tytuły pierwsze: pytania, tytuły drugie: odpowiedzi. Zabawa ta wydaje się nam pouczająca. Dostarcza sporej porcji możliwych, wcale jednoznacznych odpowiedzi. Odpowiadamy zatem.

W okolicach 1956 roku i potem, klasycyzm był dla Zbigniewa Herberta przejawem kontestacji, aktem ucieczki przed barbarzyństwem soc-estetyki, terapeutyczną potrzebą obcowania z mniej sponiewieranym piękniem, próbą odnawiania moralnej i kulturowej tożsamości. A może i czymś więcej jeszcze. Jedno jest pewne. Podczas gdy zniewoleni trubadury /np. Delta-Gańczynski/ wbrew sobie, w takt

bębna, opiewali Nowy Wspaniały Świat, krnąbrny Herbert odmęszał jego wspaniałość miarą antycznych cnót, które podobno nowi władcy szanowali. Była w tych wyborach zasadnicza rozbieżność perspektyw, polegająca na przeciwstawieniu nakazanej apologii "osiągnięć budowniczych obecnego etapu kultury socjalistycznej" - hermeneutycznej obserwacji współczesności, sub specie aeternitatis ogólnoludzkiej kultury. Nie ulega wątpliwości, że Herbertowi stop klasycyzmu i nonkonformizmu przynosi coraz świetniejsze rezultaty artystyczne. Widoczne gołym okiem w najnowszych tomikach poetyckich: "18 wierszy" i "Raport z obłąkanego miasta". Jest bowiem nad podziw udatnym sposobem estetycznej harmonizacji skłóconych żywiołów etyki i polityki.

ODMOWA RELATYWIZMU ETYCZNEGO

Rzecz znamienna, że rozdział poświęcony rozważaniu "Imponderabiliów" poezji Zbigniewa Herberta zajmuje w książce Stanisława Barańczaka niewiele miejsca. Dokładnie 19 stron, czyli bardzo mało, jeżeli uwzględnimy złożoność problematyki sygnalizowanej tym pojęciem. Wystarczając dość, jak na podsumowanie wynikające z logiki kompozycji książki. Obficie odwołuje się do ustaleń zawartych w jej partiach analitycznych ("Antynomie", "Demaskacje"). Przede wszystkim jednak do "Ironii". Zakłada bowiem, że warunkiem odkrywania istotnego sensu większości wierszy Herberta jest zbadanie "funkcji oraz granic ironii" /s.109/. Szukasz! Funkcje te rozpatrywaliśmy za autorem "Uciekiniera z Utopii" wielokrotnie, pokusimy się przeto obecnie jego myśli doprowadzić.

"Ironie" Herberta są moralnym antidotum nihilizmu. Ratują sumienie poety "w piekle XX wieku" przed naporem totalitarnego dogmatu kłamstwa, które w nihilizm obróciło moralne pasje Alfry i Bety ze "Złewolonego umysłu". Śmiertelne niebezpieczeństwo nihilizmu dla kultury polskiej dostarcza obaj wybitni twórcy, którymi się tutaj są sprawą Barańczaka zajmujemy. Oto ich dwugłos...

Czesław Miłosz - w "Prywatnych obowiązkach" /Paryż 1972/:

"Prawda o roku 1945, o nieszczęściu kraju, w którym montowano naprędce aparat władzy z przesłanną i bandziorów, nigdy nie została opowiedziana, przysypały ją umyslenia i bajki. Dotychczas nie jest dla mnie jasne, ilu z tych co /jak ja/ godzili się na konieczność, zdołało tak sobie żebrozne narodziny nowego państwa zracjonalizować, że zapomnieli o świadectwie własnych oczu. Chyba bardzo niewiele i stąd zapewne w literaturze następczo, tyle nihilizmu" /s.132/.

Zbigniew Herbert - w "Płynię się zawsze do źródeł pod prąd, z prądem płynie śmiecie" /"Krytyka" 1981 nr 8/:

"Wrogiem kultury nr 1 nie jest cenzura, ale nihilizm, /.../ stan duchowego rozkładu, zniewolenia i absolutna akceptacja wszystkiego co może się zdarzyć, a także zgoda na zadawanie cierpienia innym, bo i tak wszystko jest nicością, wszystko jest ludzkimi zwłokami rozkładającymi się w końcu" /s.59/.

Różnica postaw jest wyraźna. W życiu i twórczości oddanej tej samej sprawie. Miłosz znacznie częściej analizuje zło. Nazywa rzecz wprost. Píše traktaty polityczne contra tyrannos. Herbert nie przesiał traktować sztuki jako katharsis, która umniejsza zło. Píše więc zawołowane ironią mini-traktaty moralne. Broni Platonskiej kalos kagathos, czyli upragnionej jedności Piękna i Dobra, Sztuki i Życia godnego.

A estetyczne konsekwencje postawy etycznej Herberta? Stanisław Barańczak zanalizował je wszechstronnie i wnikliwie zinterpretował. Wreszcie przekonywująco w ostatnich słowach "Uciekiniera z Utopii" streszcza:

"Tak i bohater Herberta, Pan Cogito, który w ostatnich latach z samotnika stał się nieoczekiwanie modelem sytuacji duchowej współczesnego Polaka. Nie chce on - choć obrona staje się beznadziejna - opuścić obłąkanego Miasta. Gdy jednak ktokolwiek usiłuje go przymocować uszczęśliwić przymusowym pobytem na idealnej Wyspie, Pan Cogito odmawia. Wybierając wierność ludzkiej kondycji - zawieszanej między utopią a doskonałością, empirią a mitem, "wyziedzieńcem" a "dziedzictwem" - staje się nie tylko wygnancem z Arkadii: jest również uciekinierem z Utopii" /s.127/.

"Pomówmy jednak o Rzeczach Naprawdę Wielkich". Autor "Pana Cogito", laureat prestiżowych nagród literackich /zagranicznych niestety^x/, cieszący się coraz powszechniej ugruntowaną sławą w bardziej wolnym świecie, "postanowił powrócić na kamienne łono ojczyzny".

I mężnie tutaj trwa: dzieląc udręki społeczeństwa, które w ciągu kilkunastu Solidarnych miesięcy stawało się obywatelskim. 13 grudnia 1981 roku jego niechętny rząd nagrodził te wysiłki stanem narodowej wojny.

Zbigniew Herbert nie jest uciekinierem z utopii. Konsekwentnie - ani teoriom, ani praktyce utopii nie dał posłuchu. Odrzucił po kolei jej intelektualne oferty i realne przymusy: światopoglądowe, pragmatyczne, estetyczne i etyczne. Bodał nigdy nie praktykował żadnego z Miłoszowych "ketmanów". Nie dał się nikomu przekupić.

Jest przeto dla nas wszystkich, zniewalanych ustawicznie, godnym podziwu i naśladowania wzorem Umysłu Ocalonego.

ANDRZEJ SAGT

x/ W końcu 1984 r. Zbigniew Herbert otrzymał nagrodę im. Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego ufundowaną przez dominikański miesięcznik "W DRODZE".

KRASNOLUDKI SĄ NA ŚWIECIE

"Nie ma wolności bez Solidarności" - to prawda, za którą płaci się dziś 50 tys. zł grzywny, nie licząc pobytu w celi przez 48 godzin. Nie wszyscy mają na to ochotę. Można jednak również inaczej. Przykładem - Wrocław. A oto jak było - według Moła Związkowego /"TM" nr 217/87/...

Wyszperałem dla was doniesienia o zorganizowanych przez krasnoludki obchodach Dnia Dziecka we Wrocławiu. Najlepszy ich opis zamieścił - o dziwo - gdański "Czas" (nr 174-175 z 22 czerwca). Uroczystości poprzedziło rozwieszenie przed dniem dziecka kilkudziesięciu plakatów "Krasnoludki w PRL, 1.VI. godz. 15, przejście podziemne przy ul. Świdnickiej" oraz ulotki z zaproszeniem od krasnali (niektóre z instrukcją wykonania czerwonej czapeczki). A oto nieco skrócona relacja "Czasu":

"Punktualnie o 15-ej ukazała się grupa ok. 30 mniej lub bardziej znanych wrocławskich ekstremistów, czy to z "S", czy z WiP. Wszyscy obciążeni plakata-
mi z krasnalami i torbami z cukierkami (łącznie przygotowano ok. 40 kg).

Zanimzdażyli się przebrać w stroje skrzatów, patroli przystąpili do legitymowania i wyrwania plakatów. Na to część grupy rozpoczęła rozdawanie czerwonych czapeczek. Już po chwili nosiło je około 100 osób. Jednocześnie ok. 20 krasnali załadowano do radiowozów. Suki zostały otoczone przez kilkudziesięciu pozostałych "czerwonoczapeczkowców" grających na gitarach i tańczących. Zarówno skrzaty z nysek jak i te z ulicy zaczęły rozdawać dzieciom cukierki. Po chwili przechodnie przejęli torby i włączyli się w rozdawanie słodyczy. W tej sytuacji patroli zaczęły zatrzymywać przechodniów. Po chwili dezorientacji suki odjechały, uwożąc około 50 zatrzymanych, których tłum żegnał skandowaniem: "Krasnale, krasnale!".

Pozostali przeszli na wrocławski Rynek, gdzie bawiono się, grano i śpiewano z dziećmi, wznosząc hasła: "Nie ma wolności bez krasnali" i "Nie ma porządku bez krasnali". Milicjanci tyralierą ruszyli naprzeciw dorosłym i dzieciom. Jednak wobec skandowania przez czerwone czapeczki "Międzynarodowy Dzień Dziecka" skofundowany szpaler MO cofnął się i rozproszył. Po półgodzinnej zabawie wszyscy rozeszli się w spokoju.

Tymczasem dyżurni we wrocławskiej Kómundzie Wojewódzkiej mieli sądny dzień. Po niepewnych próbach oskarżenia zatrzymanych o organizację nielegalnego zbiegowiska, osłupiali śledczy zwolnili wszystkich w ciągu 3 godzin.

A oto jeszcze jeden pomysł z Wrocławia, opisany przez wychodzącą tam gazetkę "Szkoła" (nr 36 z 15-31 V):

"Czas: 28 V 1987, godz. 16,30. Miejsce: Świdnicka, schodki koło zegara. W akcji bierze udział 28 osób, wiek od 4 do 40 lat. Cel: bezwzględne publiczne czytanie "Trybuny Ludu" oraz pism towarzyszących: "Czerwonego Sztandaru", "Żołnierza Wolności", "Pravdy", "Wieczoru Wrocławia". 17,02 - pierwszy patrol; 17,15 - pierwsza osoba spisana i zmuszona do odejścia; 17,20 - przyjeżdża suka; 17,24 - narada 5 milicjantów na środku ulicy, ciągłe spisywanie, tłum liczy już kilkadziesiąt osób; 17,28 - "załadowano kilkanaście osób, ZOMO odjeżdża, oklaski. Po akcji uroczyste złożenie "Trybuny Ludu" i pism towarzyszących w koszu na śmieci. Prawda, że niezły pomysł?"

DWA SPOTKANIA

Mnożą się niezwykle inicjatywy. Raz po raz dowiadujemy się o nich z Radia WE, Głosu Ameryki czy BBC, a także niezależnej prasy warszawskiej - jak zwykle najlepiej poinformowanej. Do takich niezwykle inicjatyw należą niewątpliwie spotkania, jakie odbyły się w listopadzie ub. roku w Warszawie. Przedrukujemy je z "TM" (nr 227 '87).

● SPOTKANIE NA KAROLKOWEJ

Dawno nie było w Warszawie takiego spotkania - powiedział na początek główny organizator Marian Parchowski, Przewodniczący Rady Duszpasterstwa Ludzi Pracy Archidiecezji Warszawskiej. Rozesłano 300 zaproszeń do struktur zakładowych i międzyzakładowych "S", do działaczy samorządowych (z ponad 80 zakładów i instytucji), do uczestników duszpasterstw robotniczych i redakcji pism niezależnych. W dużej sali kościoła przy ul. Karolkowej zebrało się 10 listopada ok. 400 osób. Spotkanie, zatytułowane "Reforma, demokracja, pluralizm", nie miało jasnej formuły: narada związkowa czy forum różnych środowisk, seminarium czy zebranie organizacyjne - i w efekcie było po trochu wszystkim, a zarazem niczym do końca. Najważniejsze jednak, że tak duże i reprezentatywne grono się spotkało, że mieliśmy okazję do normalnej działalności, publicznej i jawnej.

Pierwszy mówił prof. Andrzej Stelmachowski, prawnik, prezes warszawskiego KIK. Wbrew częstym w "S" przekonaniom uznał, że istniejący ustrój jest reformowalny - immobilizm polityczny ZSRR i pozostałych państw bloku zdaje się należeć do przeszłości. W PRL oczekiwać trzeba, że władza - chcąc koncentrować się na kluczowych zagadnieniach - zrezygnuje z pewnych sfer życia społecznego pozostawiając je samorządom. Nie po to, by oddać je w nasze ręce, wręcz przeciwnie: samorząd terytorialny, o ile powstanie, najpierw zostanie opanowany przez klikę aparatu partyjno-państwowego. Ale nawet to będzie oznaczać duży postęp - szansę wchodzenia dla nas.

Odbudowa tkanki społecznej wiedzy przez cierpliwe tworzenie różnorodnych wspólnot, zarówno przez wchodzenie do organizacji oficjalnych, jak i w ramach "S", gdzie może się zmieścić wiele kierunków i grup. Jednak zachowana musi być tożsamość, zachowana musi być wierność ideałom "S", jej gremiom kierowniczym, a zwłaszcza Przewodniczącemu.

Trzeba też dowartościować te demokratyczne formy, które wobec fikcji sejmu w jednopartyjnym systemie mogą zastępować instytucję parlamentu, zwłaszcza w tworzeniu prawa. Chodzi tu głównie o umowy społeczne, na wzór zawieranych w latach 1980 - 1981.

Andrzej Wielowieyski, który kierował Ośrodkiem Prac Społeczno-Zawodowych "S", określił najpierw swoją postawę wobec referendum. Powiedział, że czuje się zagrożony sytuacją, w której nie można dać wyrazu zaangażowaniu w sprawę reform. Referendum nie zostało poprzedzone publiczną pracą nad postawieniem pytań, nie wyrażają one rzeczywistych dylematów - ta szansa została zaprzepaszczona. W swoim wystąpieniu mówił - chyba wbrew oczekiwaniom - głównie o historii reform. Wszystkie dotychczasowe reformy gospodarcze, począwszy od 1956 roku, padły. Po Grudniu władza stosowała zasadę: twarde w polityce, miękkie w ekonomii. Czy będzie w stanie poprowadzić miękką politykę i twardą ekonomię - nie wiadomo. Obecna reforma też zostanie zablokowana: nie ma sił zdolnych przełamać opór aparatu, a zwłaszcza lobby przemysłu ciężkiego.

O sytuacji "S" i jej zadaniach mówił Zbigniew Bujak w tonie - jak mu potem zarzucano - nazbyt urzędowo-optymistycznym. "Solidarność" wyszła ze stanu wojennego co prawda osłabiona, ale wciąż jest jedyną siłą zdolną wymusić reformę. Spory wewnątrzwiązkowe są świadectwem różnorodności, bogactwa form i nurtów. Uda się się przy tym zachować jednolite stanowisko wobec władzy w podstawowych sprawach.

Najważniejsze dla związku jest teraz odnalezienie się w zakładach pracy, wobec nowych sytuacji, jakie niesie reforma: samodzielność przedsiębiorstw, możliwego drastycznego spadku płac, ewentualnych bankructw, ograniczenia praw pracowniczych w ustawodawstwie II etapu. Tajne komisje zakładowe przestają mieć rację bytu, konieczna jest jawność, obecność w samorządach czy komitetach założycielskich "S". Gdyby doszło do otwartych konfliktów czy strajków, potrzebni będą ludzie z nazwiskami. Działalność na poziomie zakładu to jednak za mało,

trzeba tworzyć silne struktury regionalne, zdolne do rozbicia układów brantowych, które są oparciem dla nomenklatury.

Po prelegentach głos zabrało kilkanaście osób. Odnotowujemy niektóre wypowiedzi.

Głos Zbyszka Bujaka poparł Henryk Wujec. "S" jest jedyną nadzieją polskiego społeczeństwa, naszym głównym kapitałem. Stan wojenny oczyścił ją z "krzykaczy", doprowadził też do licznych podziałów, co ma swoje dobre strony (praktyczny pluralizm), ale i złe. W imieniu RKW Wujec zadeklarował konkretną pomoc dla samorządów i komitetów założycielskich "S", podał gdzie i kiedy można zasięgnąć porady prawnej.

Ten nielankowy obraz został ostro skontrowany przez Seweryna Jaworskiego. Wzniósł on za niewiastę, że RKW po amnestii obwołała się kierownictwem regionu. Jego zdaniem potrzebne jest reprezentatywne ciało, które należy wyłonić jak MKZ-y po Sierpniu. Propozycję tę część sali przyjęła oklaskami.

O reformie Jaworski powiedział, że jej warunkiem jest niepodległość kraju, chociażby taka jak w Jugosławii.

Jacek Szymanderaki określił ton wypowiedzi Bujaka jako socrealistyczny. "S" utraciła przecież poparcie społeczne, chociaż wciąż cieszy się sympatią, a nawet miłością. I nie jest w stanie poparcia odzyskać, bo nie ma pomysłu jak rozbić nomenklaturę, a więc nie może wymusić reformy.

Szymanderaki mówił z wigorem, dostał burzliwe oklaski, choć nie wniósł niczego konstruktywnego. Zwrócił na to uwagę Maciej Jankowski, spawacz zatrudniony na Uniwersytecie Warszawskim. Nie ważne czy nazwiemy to poparciem czy miłością - ważne żeby "S" robiła coś dla robotników, żeby była pożyteczna. Reforma może doprowadzić do efektywnej reprivatyzacji, na której zyskają nieliczni, ale tracą załogi wielkich zakładów. Nie będzie wtedy III etapu, będzie zadyma i to duża. Co gorsze może to być zadyma reakcyjna: sojuszu sfrustrowanych z partyjnym betonem.

Anna Urbanowicz, nauczycielka ze Skierniewic: najważniejszym problemem jest działalność "S" na codzień. Związek musi wyjść do ludzi, bo są sparaliżowani nieuzasadnionym strachem, nie widzą sensu jakiegokolwiek działania.

Najbardziej przekonująco brzmiały głosy tych, którzy zapaleni do swojego pomysłu na działanie - reklamowali go zebranym.

Jan Kalita przewodniczący Rady Pracowniczej "Cemi" przekonywał, że trzeba stawiać na samorząd - tajne TKZ-y już się przeżyły. Rada "Cemi", w której skład wchodzi zarówno członkowie "S" jak i PZPR i niezwiązani, odnosi niewątpliwe sukcesy. Można by ją nazwać przyczółkiem porozumienia narodowego. Nawet uchwałę w obronie wyrzucenych z "Polaru" członków Komitetu Założycielskiego "S" stwierdzając konieczność przywrócenia pluralizmu związkowego podjęła jednogłośnie.

Marcel Jarosiński z Komitetu Założycielskiego "S" w ZM "Urus", przewodniczący Rady Pracowniczej: tworzenie komitetów jest sposobem na zaistnienie "Solidarności" w zakładach i powrót do działalności związkowej. Zgłaszają się ludzie po porady prawne, w sprawach bhp. Deklarują akces do "S", nawet członkowie niezwiązku. Dzisiejsze spotkanie nie będzie miało sensu, jeśli wyjdziemy i za miesiąc okaże się, że jedynym komitetem założycielskim w regionie wciąż jest "Urus".

Na zakończenie uczestnicy spotkania podpisali oświadczenie: "Jest jedna zasada, która zapewni przebudowę polskiego życia publicznego: zasada pluralizmu. Żądanie prawa do pluralizmu gospodarczego, społecznego i politycznego określa nasz program działania dla kraju."

1. Opowiadając się za reformą gospodarczą, przeciw nomenklaturze i scentralizowanemu zarządzaniu, jesteśmy za oparciem systemu gospodarczego na rynku i wolności gospodarczej przy jednoczesnym zapewnieniu ochrony społecznej i obrony praw pracowniczych. Służę reformie samorząd pracowniczy, służę reformie wolności związkowej. Wywalczenie pluralizmu związkowego, przywrócenie NSZZ "Solidarność" prawa do legalności jest warunkiem upodmiotowienia załóg pracowniczych, obrony ich poziomu życia i powodzenia reformy.

2. Demokratyzacja życia społeczno-politycznego jest niezbędna, by powiodła się przebudowa gospodarki. Bez możliwości zrzeszania się, bez pluralizmu stowarzyszeń demokratyzacja będzie fikcją i samoczustwem. Istniejący w społeczeństwie pluralizm światopoglądowy i ideologiczny powinien odzwierciedlać się w pluralizmie ugrupowań prowadzących dyskusję i współdziałających dla dobra społeczeństwa i kraju.

Opracowali: F.F. i P.H.

● NA ZAPROSZENIE LECHA WAŁĘSY

"Nie zważamy się przeciwko władzy. Mamy radzić o Polsce (...). Zwracam się do ludzi światłych i kompetentnych, obdarzonych autorytetem moralnym i mandatem swoich środowisk z propozycją debaty o tym, co można i co trzeba zmienić w naszym kraju. Tylko w ten sposób można się przeciwstawić poczuciu beznadziejności (...)" - tak rozpoczął Lech Wałęsa spotkanie 7. XI. Zaprosił na nie ten sam krąg ludzi, którzy w maju, przed pielgrzymką Jana Pawła II ogłosili wspólne oświadczenie o konieczności przemian politycznych i gospodarczych. "Zbieramy się w momencie, gdy w całym bloku wschodnim, a zwłaszcza w jego centrum, dzieje się coś ważnego. Życie kruszy dotychczasowy sposób gospodarowania i rządzenia. Powinno to dotyczyć także Polski. Pojawiają się właśnie zapowiedzi zmian. Oczekujemy jednak działań, a nie słów. Doświadczenie życia w PRL nauczyło nas, że nie można mieć zaufania do słownych przyrzeczeń. Zbyt często były to słowa bez pokrycia, nie dotrzymany przyrzeczenia, zrywane porozumienia.

To właśnie sprawiło, że "Solidarność" postanowiła zignorować referendum listopadowe. To nie my lekceważyliśmy instytucję referendum ale ci, którzy najpierw je ogłosili, ustalili datę i sposób organizacji, a dopiero potem rozdali w gabinecie nad tym, jakie zadać pytania narodowi. Teraz zaś, już po ogłoszeniu pytań, mówią że ich sens zostanie określony jeszcze później. (...) Referendum mogłoby mieć sens, gdyby jego przedmiotem były pytania rzeczywiste i prawdziwe. (...)

Chciałbym jednak, żeby było jasne, że "Solidarność" opowiada się stale i jednoznacznie za głęboką reformą gospodarki i życia publicznego. Nie boimy się kosztów: Polacy nigdy nie szczędzili ani krwi, ani potu dla swojego kraju. Ale muszą być pewni, że to właśnie dla kraju, że ma to sens, że nie zostanie znowu zmarnowane (...)"

W spotkaniu uczestniczyli: Janusz Boksinski, Jacek Pochenski, Stefan Bratkowski, Ryszard Duga, Zbigniew Bujak, Maria Chmiel, Jacek Czaputowicz, Paweł Czartoryski, Kazimierz Bziewanowski, Marek Edelman, Bronisław Geremek, Władysław Goldfinger-Kunicki, Aleksander Hall, Gabriel Janowski, Tadeusz Jedynek, Marian Kaszynski, Jerzy Kłoczowski, Maja Komorowska, Krzysztof Kozłowski, Jacek Kuron, Jan Józef Lipski, Bogdan Lis, Jan Lityński, Andrzej Malanowski, Adam Michnik, Jan Olaszewski, Janusz Onyszkiewicz, Aleksander Paszyński, Jerzy Puciata, Jerzy Regulski, Ryszard Reiff, Jan Rosner, Henryk Samonowicz, ks. Jacek Salij, Andrzej Siciński, Adam Stanowski, Andrzej Stelmachowski, Jan Strzelecki, Klemens Szaniawski, Witold Trzeciakowski, Jerzy Turowicz, Andrzej Wielowieyski, Henryk Wujec, Janina Zakrzewska, Maciej Zaleski, Tadeusz Zieliński (głosy na piśmie nadesłali Zofia Kuratowska i Marcin Król).

Wymiana poglądów trwała 6 godzin, głos zabrało ok. 30 mówców. Starali się dać odpowiedź na pytania, postawione wcześniej przez Lecha Wałęsę: Czy w obecnej sytuacji możliwe jest formowanie się bardziej demokratycznego modelu sprawowania władzy? Jakle zmiany instytucjonalne stwarzają społeczeństwu szansę szerszej podmiotowości? Czy program porozumień społecznych z 1980 roku zachowuje aktualność po doświadczeniach stanu wojennego? Jakle istnieją możliwości aktywizacji i samoorganizacji ze strony społeczeństwa?

W kolejnych, z konieczności skondensowanych przemówieniach mówiono o powszechnie nie odczuwanej potrzebie zmian mechanizmów rządzenia i zastanawiano się, na ile system jest reformowalny. Zgadzano się, że w każdym razie trzeba przyjąć takie założenie i presję społeczną wymuszać zmiany, poszerzać różne obszary aktywności w samorządach, w stowarzyszeniach, w klubach politycznych. Powstanie autentycznego samorządu terytorialnego wymaga jednak oddzielenia go od administracji terenowej czyli odpowiedniej zmiany w Konstytucji.

Dogactwu postulatów i propozycji rozwiązań o różnej ogólności towarzyszyła wspólna diagnoza: niewydolność systemu stała się na tyle publiczna, że ekipy kierownicze nie mogą jej ignorować. Władza wykonuje pewne posunięcia liberalizacyjne, ale nie jest to rzeczywista demokratyzacja. Istnieje obawa, że pójdzie na koncesje tylko wobec inteligencji (jakieś stowarzyszenia i kluby), a już nie wobec robotników i rolników. Tymczasem do pobudzenia aktywności społecznej - bez czego nie uda się wyjść z kryzysu - niezbędne jest przywrócenie pluralizmu związkowego, w tym legalizacja "Solidarności", pełna swoboda stowarzyszeń społecznych, rezygnacja z nomenklatury przynajmniej na szczeblu przedsiębiorstw oraz tworzenie systemu porozumień społecznych.

Zebrani jednomyślnie uchwalili, że zostanie opublikowany pełny stenogram spotkania. Powołano też komisję dla zredagowania deklaracji oraz zapowiedziano, że podobne spotkania będą kontynuowane.

PPS - nowa inicjatywa polityczna
CZY UZYSKA POPARCIE SPOŁECZEŃSTWA?

Wszyscy nas teraz zaskakują. Zaskoczył również Jan Józef Lipski z grupą przyjaciele, powołując do życia w kraju Polską Partię Socjalistyczną.

Czym była niegdyś PPS - wielu wie. Ale nie wie lub wie stanowczo za mało pokolenie czterdzieste, a nawet pięćdziesięcioletków. Słowem - spora część społeczeństwa polskiego.

PPS okryta była legendą, związaną z okresem walk o niepodległość i ludzkie warunki życia w czasach zaborów. Ta legenda - w wyniku frakcyjnych podziałów, a także "ugodowej" formuły w okresie międzywojennym - została mocno nad-szarpnięta. Ale PPS nadal odgrywała nie małą rolę w życiu politycznym i świa-domości społeczeństwa w latach II wojny i bezpośrednio po niej - dopóki nie zesłała na psy, wchodząc w tzw. blok z PPR, a następnie "jednocząc się" z tą partią. Oczywiście, to nie była już ta sama PPS co przed wojną. Ale ostatecznie - cokolwiek byśmy powiedzieli - i Osóbka-Morawski i Cyrankiewicz byli PPS-iakami. I właśnie oni doprowadzili do śmierci moralnej, a potem i faktycznej tej wpłynęwej niegdyś partii.

Władza PRL - ustami swego rzecznika prasowego - powiedziała już co o tym myśli. Jeszcze wcześniej potwierdził to gen. Kiszczak, wkraczając na posied-żenie władz centralnych reaktywowanej partii z batalionem ZOMO i innych "stróżów" publicznego "ładu i porządku". 30 przywódców nowej PPS zostało zatrzymanych i odpowiednio "pouczonych", że bawią się źle.

"Czy oznacza to, że Polska Partia Socjalistyczna nie mieści się w obrębie pluralizmu socjalistycznego? - pytał potem Urban na konferencji prasowej z dziennikarzami zagranicznymi i zaraz odpowiadał: - To parodiowanie partii, które tam urządzano z całą pewnością nie mieści się w tej formule. Polska Partia Socjalistyczna połączyła się w 1948 roku z Polską Partią Robotniczą tworząc wspólnie Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Od tego czasu minęło wiele dziesiątków lat i jeżeli jakaś grupa kilkunastu osób pragnęłaby od-wracać koło historii, to chcę zapewnić, że to się na pewno nie uda, a także że demokratyczny rozwój Polski nie polega w ogóle na cofaniu koła historii, lecz przeciwnie".

Tymczasem jednak PPS jest i działa. W dodatku - o czym donoszą różne prze-kazniki, którym wierzyć warto - nie w próżni społecznej. Mówi się już o 100 tys. członków i co najmniej tylu, jeśli nie więcej, sympatyków. Inicjatywa Jana Józefa Lipskiego i innych "Starych" PPS-iaków okazała się więc wcale trafiona. Bardziej w każdym razie od innych, które stroją się w liberalno-demokratyczne czy chadeckie piórka.

Czy jednak uzyska poparcie społeczeństwa? Czy spotka się z życzliwym zainte-resowaniem zwłaszcza młodszego pokolenia? Socjalizm został u nas doszczętnie skompromitowany. Więc i cele z nim związane straciły na znaczeniu. Aby zaś dążyć do realizacji sprawiedliwości społecznej i demokracji, do odzyskania niepodległego i suwerennego kraju, bo tylko w warunkach takiego możliwe jest realizowanie celów społecznych i politycznych narodu, nie trzeba chyba się-gać do PPS. Chyba że pod tą nazwą mieściłaby się nowa formuła narodowych i społecznych interesów.

Tak czy owak - wierni zasadzie pluralizmu - odnotowujemy inicjatywę działa-czy PPS z sympatią. I choć nie mamy zaufania do doktryny, na której oparta była i jest PPS, to jednak wydaje się ona bardziej uczciwa, niż np. próby Janusza Zabłockiego i jego komilitonów, którzy znów myślą o reaktywaniu polskiej chadecji - w postaci Stronnictwa Pracy. To już drugie "podejście" do tej sprawy: pierwsze - w oparciu o bazę społeczną, jaką była "Solidar-ność" - nie wyszła. Teraz chce się oprzeć o grupy Duszpasterstw Pracy. A wszystko po to, aby paru czy parunastu politycznych kombinatorów mogło uczestniczyć w rozdawnictwie łask i resztkach ze stołu pańskiego, czyli PZPR. Mamy nadzieję, że Kościół na to nie pójdzie. Ale czy nie zmyli wielu formu-ła chadeczka, w dodatku z kręgu osób, które oficjalnie zostały uznane za "przyjaciół" Kościoła?

A oto - ogłoszona 15.XI. 1987 roku - "Deklaracja polityczna PPS" oraz krótka historia tej partii, nadesłana przez Bogdana Wielowiejskiego...

● DEKLARACJA POLITYCZNA PPS

Dziewięćdziesiąt pięć lat temu powstała Polska Partia Socjalistyczna. Partia, która organizowała Polaków do walki o niepodległość i sprawiedliwość społeczną, w czasach niewoli wzięła czynny udział w walce zbrojnej o niepodległą Polskę. Dzięki inspiracji tej partii pracujący uzyskali na początku dwudziestolecia międzywojennego postępowe ustawodawstwo socjalne i to ta partia wspólnie z ruchem ludowym skutecznie przeciwdziałała tendencjom autorytarnym. Podczas drugiej wojny światowej PPS stanęła przeciw obu najezdźcom, walcząc o Wolność - Równość - Niepodległość.

Przed 40 laty komuniści zniszczyli demokratyczny ruch socjalistyczny. Wielu działaczy socjalistycznych zginęło w polskich i radzieckich więzieniach, wielu spędziło tam długie lata. PPS nie dała się jednak wymazać z kart historii i świadomości społecznej. Jej dzieje i dzieje Polski zapisywali przecież Bolesław Limanowski i Józef Piłsudski, Edward Abramowski i Feliks Perl, Ignacy Daszyński i Mieczysław Niedziałkowski, Stefan Okrzeja i Kazimierz Pużak, Kazimierz Kelles-Krauz i Adam Próchnik, Zygmunt Żuławski i wielu innych. Tradycję socjalistyczną kontynuuje PPS na Obczyźnie, z której działalnością nierozdzielnie związane są nazwiska Tomasa Arciszewskiego, Adama Ciołkosa i Zygmunta Zaremby.

I. Dziś, w rocznicę Zjazdu Paryskiego, odbudowujemy Polską Partię Socjalistyczną, z pełną świadomością wagi tradycji, do której nawiązujemy. Partię jawną i legalną, mieszczącą się w ramach konstytucyjnego porządku. Jej prawo do legalnego istnienia wynika także z norm prawa międzynarodowego ratyfikowanych przez władze PRL.

II. Zdajemy sobie sprawę, że słowo "socjalizm" zawłaszczone przez komunistów nie cieszy się dziś popularnością w polskim społeczeństwie. Jest ono identyfikowane z władzą. Naszą pracą, walką i twórczym myśleniem przywrócimy temu słowu i związanym z nim wartościom właściwe znaczenie. O te wartości, o podmiotowość człowieka, o godność pracy i niepodległość narodu wielokrotnie upominało się polskie społeczeństwo, upominali się polscy robotnicy podczas sierpnowego zrywu. Były one obecne w działaniach niezależnych sił społecznych między Stępczkiem a Grudniem i znalazły swój wyraz w programie samorządnej Rzeczypospolitej uchwalonym na I Krajowym Zjeździe NSZZ "Solidarność". O wolność, demokrację i sprawiedliwość społeczną walczyli polscy socjaliści w strukturach opozycyjnych lat 70-tych i 80-tych.

III. Polską Partię Socjalistyczną tworzymy w chwili, gdy rządzący deklarują wolę przebudowy gospodarki i demokratyzacji systemu. Prezentowany program gospodarczy, choć zawiera szereg propozycji wskazywanych wcześniej przez opozycję i niezależnych naukowców, jest jednak niespójny, a przede wszystkim stwarza zagrożenie dla praw i interesów większości pracujących. Kluczowym problemem jest więc w tej sytuacji uzyskanie przez niezależne ruchy społeczne realnego wpływu na życie polityczne kraju. Uważamy, że wprowadzenie realnych działań politycznych wobec władzy jest możliwe już teraz.

IV. Program nasz będzie otwarty, tak zbudowany, aby poddawał się modyfikacjom niesionym przez czas i realia życia. Nie chcemy go opierać o sztywną doktrynę. Nie chcemy też wiązać się z żadną określoną filozofią, choć nie ukrywamy, że bliższe są nam dziś społeczne nauki Kościoła katolickiego, a przede wszystkim nauczanie Jana Pawła II - niż marksizm. Uprawianie filozofii powinno być dziedziną zainteresowanych jednostek i wyspecjalizowanych instytucji, nie zaś partii politycznych. Uznajemy, że przekonania religijne są osobistą sprawą każdego człowieka i członkom swoim PPS nie stawia w tym względzie żadnych ograniczeń.

V. Stawiamy przede wszystkim na solidarny wysiłek swobodnie organizujących się zbiorowości, choć jesteśmy przeświadczeni, że nie można zaprzepaszczać wielkiego potencjału indywidualnych inicjatyw.

VI. PPS zmierza do współpracy i przyjaźni ze wszystkimi narodami świata, a przede wszystkim do przewyciężenia różnic i wad z naszymi sąsiadami uznając prawo każdego narodu do samostanowienia. Pragniemy działać w kierunku za-

gwarantowania prawa do swobodnego rozwoju narodowego, kulturalnego i religijnego wszystkich mniejszości narodowych w Polsce.

VII. Deklarujemy pragnienie współpracy ze wszystkimi demokratycznymi partiami i organizacjami. Z nadzieją patrzymy na odradzający się ruch ludowy.

VIII. Nie ignorując realiów politycznych, które można i należy zmieniać zamierza PPS wywierać wpływ na sposób sprawowania władzy w Polsce. Będzie to czynić przez inicjowanie i rozwijanie przemian demokratycznych, organizowanie społecznej kontroli nad poczynaniami władz, popieranie odradzającego się ruchu związkowego i ściśłą z nim współpracę.

Będziemy walczyć o respektowanie praw człowieka, a wśród nich: prawa do życia w niepodległym, wolnym kraju, do wolności stowarzyszania się, do pluralizmu politycznego. Domagamy się prawa do życia w nieskażonym środowisku naturalnym, prawa do zastępczej służby wojskowej, oraz zniesienia kary śmierci.

Wzywamy w szeregi PPS wszystkich Polaków, którym bliskie są ideały lewicy demokratycznej.

NIECH ŻYJE POLSKA NIEPODLEGŁA I DEMOKRATYCZNA!

NIECH ŻYJE POLSKA PARTIA SOCJALISTYCZNA!

Za przewodniczącego Zjazdu Założycielskiego - Jan Józef Lipski

Sekretarz Zjazdu Założycielskiego -
Zuzanna Dąbrowska

● KRÓTKA HISTORIA PPS

17 listopada 1987 roku minęło 95 lat od czasu, gdy powołano do życia Polską Partię Socjalistyczną, dlatego chciałbym przybliżyć Czytelnikom w skrócie jej działalność i historię.

W dniach 17-21 listopada 1892 r. odbył się w Paryżu zjazd 18 działaczy socjalistycznych. Utworzono na tym zjeździe Związek Zagranicznych Socjalistów Polskich, a w kraju PPS. Uchwalono walkę o odbudowę niepodległej Polski jako republiki demokratycznej, odnowę pracy w niepodległej Polsce, a w dalszym czasie - przekształcenie w państwo socjalistyczne.

W pierwszych latach działalności PPS powstają dwie grupy: rewolucyjna - pod kierownictwem Jana Stróżeckiego i wileńska - pod kierownictwem Aleksandra Sulikiewicza i Józefa Piłsudskiego, redaktora "Robotnika", nawołującego do walki o wolną i niepodległą Polskę.

Po aresztowaniu działaczy SDKP, część jej członków weszła w latach 1896-1899 w skład PPS, co doprowadziło do wzmocnienia grupy rewolucyjnej, a w konsekwencji do rozbitcia na dwie frakcje: prawicową i lewicową. Prawica opowiadała się za walką o niepodległość Polski w wyniku zbrojnego powstania i wojny z Rosją. Lewica uznawała walkę rewolucyjną razem z rewolucjonistami rosyjskimi i odsuwała niepodległość na plan dalszy.

Na IX zjeździe PPS w listopadzie 1906 r. w Wiedniu nastąpił rozłam na PPS Frakcję Rewolucyjną, którą stanowiła prawica i PPS - Lewicę. Z ramienia PPS założono w 1908 r. Związek Walki Czynnej (ZWC) pod dowództwem Kazimierza Sosnowskiego, który w razie wojny miał się podporządkować Organizacji Bojowej PPS - Frakcji Rewolucyjnej. W 1910 roku założono legalne organizacje paramilitarne na bazie ZWC: w Krakowie - "Strzelca" pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, we Lwowie "Związek Strzelecki" pod dowództwem Władysława Sikorskiego. Wszystkie te dążenia miały na celu przygotowanie siły zbrojnej do walki o wolną i niepodległą Polskę. Przygotowano także grunt pod działalność polityczną. W tym samym 1910 roku - w listopadzie - powstała Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych (KTSSN), która w przyszłości miała się przekształcić w Rząd Narodowy. Sekretarzem KTSSN był początkowo przedstawiciel PPS - Frakcji Witold Jodko-Narkiewicz, potem Leon Wasilewski, a komendantem wojskowym Józef Piłsudski.

Po zamordowaniu w Sarajewie arcyksięcia Ferdynanda Austro-Węgry wypowiedziały 28 lipca 1914 roku wojnę Serbii. Po włączeniu się do wojny Rosji, Francji,

Wielkiej Brytanii i Niemiec rozpoczęła się I wojna światowa. Nareszcie po ok. 120 latach - nastąpiła znacząca zmiana w sytuacji Polski: rozpadła się koalicja państw zaborczych. Dawało to Polakom nadzieję na wskrzeszenie wolnej i niepodległej Polski. Wszystkie stronnictwa i ugrupowania polityczne musiały wybrać i opowiedzieć się za jedną z obietnic złożonych przez państwa zaborcze, mówiącej o wskrzeszeniu Polski. PPS z Józefem Piłsudskim na czele opowiedziało się za Austro-Węgrami i państwami centralnymi przeciw Rosji. W 1914 roku związki strzeleckie wkroczyły u boku armii austriackiej do Królestwa Kongresowego. Następnie zostały one przemianowane na Legiony Polskie, a komendantem ich został Piłsudski. Po przekazaniu legionów władzom niemieckim - Piłsudski i legionści odmówili złożenia przysięgi na wierność cesarzowi. Doprowadziło to do internowania Piłsudskiego i Sosnkowskiego w twierdzy magdeburskiej. Legionistów I i III Brygady, pochodzących z Królestwa Kongresowego, internowano w Szczypiornie, Łomży i Beniaminowie, a legionistów - obywateli austriackich - wcielono do armii austriackiej i wysłano na front włoski. II Brygada Legionów została przemianowana na Polski Korpus Posiłkowy i wraz z płk. Józefem Hallerem i płk. Władysławem Sikorskim wysłana na front rosyjski.

10 listopada 1918 roku wraca z Magdeburga do Warszawy Józef Piłsudski. Następnego dnia, 11 listopada, Rada Regencyjna przekazuje mu władzę. Utworzone rząd, który 22 listopada wydał dekret normujący podstawy ustrojowo-polityczne państwa polskiego do czasu zwołania Sejmu Ustawodawczego. 16 grudnia 1918 r. PPS-Lewica połączyła się z SDKPił i utworzone Komunistyczną Partią Robotników Polskich (KPRP), która dążyła do współpracy z rządem bolszewickiej Rosji, widząc w niej siłę, która pomoże komunistom polskim przejąć władzę. W wyniku przyłączenia do Polski znacznych terenów dawnych zaborów oraz po odłączeniu PPS-Lewicy utworzono Ogólnopolską Zjednoczoną PPS i uchwalono jej program, który nawoływał do utrwalenia niepodległości, systemu parlamentarno-demokratycznego z jednoizbowym Sejmem, szerokim samorządem i pięcioprzymiotnikowym prawem wyborczym oraz gwarancjami swobód obywatelskich dla mniejszości narodowych. Uchwalono także decyzję o upośledzeniu górnictwa, hutnictwa, komunikacji, banków, przedsiębiorstw komunalnych, lasów, wód, handlu artykułami pierwszej potrzeby i wyłączeniu wielkich majątków ziemskich. Były to główne kierunki w działaniu PPS w czasie całego dwudziestolecia międzywojennego.

W 1926 r. następują w PPS rozłamy. W wyniku zamachu majowego - w czerwcu powstaje w Krakowie PPS-Lewica, a w październiku - PPS-Frakcja Rewolucyjna. PPS-Lewica nawiązuje ściślejszą współpracę z KPP, ogłaszając wspólne komunikaty i zobowiązania. Pozostała PPS nawiązuje współpracę z ludowcami. Taka sytuacja trwa do 1939 r., tj. do wybuchu II wojny światowej. W 1940 r. następuje rozwiązanie PPS, a z niej powstaje Centralne Kierownictwo Ruchu Młodych Pracujących Miast i Wsi "Wolność - Równość - Niepodległość" (WRN). Przy wydatnej pomocy działaczy PPS-u utworzono siłę zbrojną pod nazwą Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), przemianowanej później w Armię Krajową (AK). AK zapisała się licznymi i bohaterskimi akcjami zbrojnymi. Przez pewien czas była jedną, a następnie najliczniejszą organizacją wojskową w okupowanej Polsce.

PPS-Lewica postanowiła związać swoje losy z komunistami. W pierwszym okresie okupacji jej działacze działają samodzielnie, tworząc m.in. "Barykady Wolności" i Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. W wyniku połączenia organizacji lewicowych socjalistów powstaje organizacja o nazwie Polscy Socjaliści (PS). 11 kwietnia 1943 r. w mieście PS powstaje Robotnicza Partia Polskich Socjalistów (RPPS), która weszła w skład Krajowej Rady Narodowej, inspirowanej i kierowanej przez komunistów polskich z Moskwy. Także z Moskwą i Stalinem związała swoje losy Wanda Wasilewska - przedwojenna działaczka PPS-Lewicy, a w czasie wojny jedna z czołowych postaci Związku Patriotów Polskich w ZSRR.

W 1944 r. na "wyzwolonych" przez Armię Radziecką terenach RPPS przemianowuje się na odrodzoną PPS i wchodzi w skład PKWN, na czele którego staje członek PPS Edward Osóbka-Morawski. Także PPS-WRN stara się o zalegalizowanie swojej działalności. W wyniku braku zgody ze strony powstałego właśnie Rządu Jedności Narodowej, Zygmunt Żuławski wezwał działaczy PPS-WRN do wejścia w skład legalnej PPS i przejęcia jej kierownictwa w swoje ręce. Było to błędne posunięcie i nie przyniosło spodziewanego sukcesu. Do podobnego błędu chcą doprowadzić obecnie również niektórzy działacze "Solidarności", sugerując wchodzenie w oficjalne układy. Niech los PPS-WRN będzie dla nich przestroga!

15-21 grudnia 1948 r. odbył się zjazd, nazywany przez komunistów "Zjazdem Zjednoczeniowym", ponieważ - zamiast dwóch partii, PPS i PPR, dających pewną możliwość demokracji i pluralizmu politycznego - utworzono jedną, monopolistyczną PZPR. 15 listopada 1987 r. - po 95 latach od powstania i 39 latach od wcielenia do PZPR - postanowiono reaktywować PPS. Służba Bezpieczeństwa zadziałała sprawnie i aresztowała uczestników spotkania założycielskiego wraz z dziennikarzami zagranicznymi, którzy przybyli na to spotkanie. Na konferencji prasowej Urban powiedział, że PPS sama się połączyła z PPR i nie ma podstaw do jej dalszego istnienia. Spotkanie nie uzyskało zgody rządu i dlatego było "nielegalne". Pan Urban miał jednak na myśli chyba tylko PPS-Lewicę, bo to ona, jak poprzednio w 1918 r. weszła w skład KPRP, tak w 1948 do PZPR. Zapomniał o tym, że przez 56 lat swej działalności istniały zawsze co najmniej dwie frakcje w łamach PPS. Te właśnie frakcje (poza Lewicą) komuniści odrzucili i nie chcą, aby znów się odrodziły. Ale one istnieją, czego dowodem jest właśnie reaktywowanie PPS.

BOGDAN WIELOWIEJSKI

OD REDAKCJI: Mamy nadzieję, że zamieszczone wyżej uwagi oraz przekazane nam teksty nie zostaną odczytane przez Czytelników jako zmiana "orientacji politycznej" naszego zespołu. Poświęciliśmy PPS-owi więcej uwagi ze względu na oddźwięk społeczny, jaki jej powstanie w kraju wywołał. Nasz negatywny stosunek do kreowania w PRL chadecji - jako "czwartej siły" w bloku trzech "zaprzyjaźnionych", "sojusznicznych" partii i stronnictw - wynika po prostu z niewiary w partnerskie stosunki z PZPR. Boimy się przy tym, że taki układ (choć na razie czysto iluzoryczny) służyłby jedynie do "upadństwowienia" Kościół i wyrzuciłby mu nieobliczalne szkody. Nie jesteśmy więc "żydami i masonami", choć z pewnością bardziej wolimy takie inicjatywy, które - jeśli są związane z ryzykiem - grożą kompromitacją tylko tym, którzy je kreują. A Kościół zostawmy tym, którzy faktycznie go tworzą.

W stronę południowych sąsiadów

Z A O L Z I E

O Zaolziu i stosunkach polsko-czeskich pisaliśmy już w nr. 2 "Jesteśmy". Problem nadal jednak istnieje - mimo oficjalnego milczenia władz PRL. Na Zaolziu mieszka ok. 80 tys. Polaków. A z każdym rokiem jest ich mniej. Jest to rezultat polityki wynaradawiania, prowadzonej systematycznie od 43 lat. Gorszy jest oczywiście los Polaków w ZSRR, ale to już inna historia. Korzystając z "główności", która - miejmy nadzieję - obejmie również obszar polsko-czeski, zamieszczamy szkic A. Beskida - przedruk z paryskich "Zeszytów Historycznych" /nr 78/.

Widome zdaje się być wszczym, że powstająca w 1918 roku Rzeczpospolita nie sytuowała się w jakichś ściśle określonych granicach geograficznych. Nie były dokładnie sprzeczowane jej granice polityczne, a skomplikowana sytuacja narodowościowa w tej części Europy uniemożliwiała wytyczenie granic etnograficznych.

Znana jest mniej więcej sprawa formowania granic Rzeczpospolitej z Niemcami oraz Litwą i Rosją Sowiecką. Totalna natomiast wydaje się być niewiedza naszego społeczeństwa na temat granicy polsko-czechosłowackiej, a konkretnie niemal 30-letni spór polsko-czechosłowacki o część Śląska Cieszyńskiego zwaną Zaolziem.

Przyjrzyjmy się najpierw z konieczności skróconej historii Zaolzia. Sam ów teren jest stosunkowo świeżą datą. Ziemi zaolziańskiej nie było bowiem nigdy, ani w znaczeniu jednostki terytorialnej, ani też administracyjnej. To, co zwano obecnie (coraz rzadziej) Zaolziem, stanowiło do połowy XIV wieku integralną część Korony Polskiej. Od połowy XIV wieku należało do Księstwa Cieszyńskiego i wraz z Czechami weszło w 1620 roku w skład państwa Habsburgów. Z chwilą jego rozpadu powstała w końcu października 1918 roku Rada Narodowa Śląska Cieszyńskiego i wydała 30 października tegoż roku manifest, w którym deklarowała przyłączenie tej ziemi do Macierzy. Droga porozumienia z czeskim Narodnym Vládom ustalono, że do Czech włączono zostaną powiaty frydecki i część fryszta-

kiego, reszta zaś miała pozostać przy Polsce. Zarówno rząd w Warszawie jak i w Pradze zatwierdziły owo porozumienie. Jednakże wykorzystując trudną sytuację Polski, w drugiej połowie stycznia 1919 roku Czesi zianali porozumienie i pokonując opór o wiele słabszych sił polskich gen. Latanika zajęli Śląsk Cieszyński. Pod wpływem interwencji Ententy, doszło do zawieszenia broni, a jej Rada Narodna podjęła decyzję o przeprowadzeniu plebiscytu na spornym obszarze. W końcu, wykorzystując tragiczną sytuację Polski w lipcu 1920 roku, wymuszono na niej rezygnację z plebiscytu i dokonano podziału Śląska Cieszyńskiego na niekorzyść Polski. Czechom przypadło 56,2 % tej ziemi, którą zamieszkiwało 48,6 % Polaków, 39,9 % Czechów oraz 11,3 % Niemców.

Problem Zaolzia w zasadniczy sposób wpłynął na stosunki polsko-czeskie. Wielokrotne próby Polski nawiązania ściślejszych stosunków z Czechosłowacją były przez rząd tej ostatniej torpedowane. Sam problem Zaolzia w sposób praktyczny wypłynął w związku z polityką Niemiec wobec Czechosłowacji. Minister Beck już w kwietniu 1938 roku uważał, że Sudety w wyniku aktualnej sytuacji przypadną Niemcom. W pierwszej fazie konfliktu zajął on pozycję neutralną, w miarę przychylną dla Czechosłowacji. Dopiero z chwilą, gdy doszedł do wniosku, że Niemcy zechcą zająć całą Czechosłowację, przedsięwziął kroki, w celu odzyskania Zaolzia. 21 września 1938 roku rząd polski wystosował notę do rządu czechosłowackiego z żądaniem rozwiązania kwestii Zaolzia analogicznie jak Sudetów. 22 września Benes wysłał list do Mościckiego, w którym w zasadzie wyraził zgodę na cęję Zaolzia, jednakże bez precyzowania jej terminu. Polska, która obawiała się wywołania wrażenia, że korzysta z pomocy Rzeszy, postanowiła przerwać czeskie milczenie. 30 września wystosowano ultimatum z żądaniem natychmiastowego przekazania Zaolzia Polsce. i października, po bezskutecznym odwołaniu się do wielkich mocarstw (także ZSRR), Czechosłowacja ultimatum owo przyjęła. Choć można oczywiście आरोуnić pretensje polskie do Zaolzia, to sposób w jaki minister Beck usiłował zakończyć całą sprawę wydaje się co najmniej wątpliwy. Oczywiście Polska nie miała żadnego wpływu na ustalenia monachijskie, ale akcja zainicjowana przez Becka pozwoliła Hitlerowi przedstawić rozszerezenia niemieckie w zupełnie innym świetle. Oto w jednym szeregu Niemcy, Węgrzy i Polacy upominają się o prawa dla swoich współrodaków w Czechosłowacji. Postulaty niemieckie nie są odosobnione, zęboręce państwo czechosłowackie musi oddać zagrabione ziemie wszystkim poszkodowanym. Takie mniej więcej zdania propaganda narciowska rozsiewała po całym świecie. Ponadto uderza niefrusobliwość, z jaką czołowi politycy polscy obozu rządzącego przyglądają się wychodzeniu Niemców na naszą południową flankę.

Sposób rewindykacji Zaolzia nie pozostał też bez wpływu na stosunek emigracyjnego rządu czeskiego do sprawy polskiej...

Śląsk Cieszyński zamieszkały był przez 3 grupy narodowościowe - Polaków, Czechów i Niemców. Pogląd o relacjach demograficznych pomiędzy tymi narodami do roku 1938 dają nam 4 spisy austriackie i 2 czeskie. Dwa pierwsze spisy austriackie (1880, 1890) były przeprowadzone wyraźnie tendencyjnie. W ich wykonaniu główną rolę odgrywał Cześć, a wyniki poszczególnych lat przedstawiają się wręcz osobliwie. I tak np. w gminie Szumbark spis z 1880 roku wykazał 17 Polaków i 697 Czechów, ale z 1900 - 883 Polaków i 3 Czechów, w gminie Olbrachcice w roku 1880 Polaków w ogóle nie zanotowano, Czechów 1029, ale w 1890 Polaków 1079 zaś Czechów ani jednego. W spisie z 1900 roku, na skutek silniejszej kontroli polskiej, w jednym tylko powiecie fryztaackim w porównaniu ze spisem z 1890 roku doliczono się o 60 % więcej Polaków. Ostatni spis w ramach Austro-Węgier (1910) przeprowadzony już pod silną kontrolą polską wykazał 123.923 Polaków, 32.821 Czechów oraz 22.312 Niemców. Spisy czeskie z 1921 i 1930 roku pokazywały wszelkie rekordy tendencyjności. W spisie z 1921 roku (w porównaniu z 1910 rokiem) "nie doliczone się" około 80 tys. Polaków, lecz za to zaliczono 60 tys Czechów. Ostatni spis mówił o zamieszkujących Zaolzie 76.220 Polakach i 120.639 Czechach. Z chwilą odzyskania Zaolzia w 1939 roku według danych polskich zamieszkiwało ten obszar ok. 227 tys. osól, z tego ok. 45 tys. Czechów i 17 tys. Niemców. Jednocześnie wskazuje zgodnie z Komunistami Czechosłowackiego Miura Prasowego z lutego 1939 roku, z ziemi tej wyemigrowało 34 tys. Czechów. Po zajęciu zaś przez Niemcy Sudetów przeniesło się tam około 9 tys. Niemców. Razem więc - z ok. 3,5 tys. Żydów - liczba ludności niepolskiej wynosiła około 22 tys.

Z chwilą agresji Niemiec na Polskę szybko zajęty Śląsk Cieszyński został

przylączony do Rzeszy (do rejencji katowickiej). Tak jak w całym kraju, i w Cieszyńskim powstał ruch oporu. Jako pierwsze powstały Organizacje Orła Białego oraz Tajna Organizacja Wojskowa, które weszły wkrótce w skład powstałego w październiku 1939 roku Inspektoratu Zaolziańskiego STP, w którego miejsce w kwietniu 1940 powstał Obwód Cieszyński (J. Kowalek). Wkrótce uduła się w okresie sierpnia 1940 - stycznia 1941 roku rozbić ZWZ, w początkach 1942 roku powstał Podinspektorat Cieszyński, już w ramach AK (M. Kulemek). Ostatcznie w sierpniu 1943 roku Podinspektorat podzielono na 3 obwody - Karwina, Cieszyń, Jasionów (tem. por. Gargiol, stan - 2.500 osób).

Opór AK silnie na tym obszarze hamowały swą działalność: "Kaciawice", Siły Zbrojne Polaki oraz GL IPS. Z uwagi na niekorzystną konfigurację terenu działania zbrojne w zasadzie ograniczyły się do obszaru Beskidów. AK prowadziła bardzo czynną działalność sabotażową (np. uszkodzenie rafinerii w Boguminie) oraz wywiadowczą. Na terenie Zaolzia znajdowały się 2 ośrodki przerobu materiałów do broni w ramach akcji W. W sumie straty polskiego ruchu oporu (innego nie było - pojedynczych Czechów można było spotkać w grupie GL IPS) wynosiły około 5 tys. osób (np. straty oddziału AK J. Kamińskiego "Strzały" wynosiły ok. 80 %).

Czesi wierili linii politycznej Naczu nie dawali znaku życia (inną sprawą jest, która postawa przyniosła więcej korzyści). Docenili to Niemcy wprowadzając na terenie Zaolzia dla siebie i Czechów to same karty wywiadowe i identyfikacyjne stały zbrojne. Podważanie liczby ofiar terroru hitlerowskiego daje aż nadto wymowne wyniki. Np. z powiatu sądowego Cieszyń w czasie całej wojny Niemcy zastrzelili 4 Czechów (podczas gdy liczba Czechów na Zaolziu według danych niemieckich wynosiła ok. 45 tys.); ten wzrost był spowodowany ich powrotem po emigracji 1938 roku oraz przyłączając Czechów polityką niemiecką na Zaolziu). Dwa razy jeszcze pro forma, że wszystkie afizki podające do publicznej wiadomości powzięte zamordowanych w publicznych ogłoszeniach były drukowane w dwóch językach: niemieckim i polskim.

Do 3 maja 1945 roku cały Śląsk Cieszyński został zajęty przez Armię Czerwoną. Przez trzy dni, od 3 do 6 maja Cieszyńskie było przybrane w biało-czerwone sztandary. Był to jednak Czesi, korzystając z opieki Armii Czerwonej, przeszli do ofensywy, najciężiej w Cieszyń Zachodnim. Powstała tam tzw. milicja czeska, składająca się głównie z członków II i III grup walczących (nota bene Volksdeutsche chwycili wyjątkowo gorliwie w wprowadzaniu władzy czeskiej). Naczelniem tej policji został były blackleiter. Jego zastępcą został też niemiecki kapitałista z Cieszyń Werdich. W Trzyczcu szczególną gorliwość w unicestwianiu flag czeskich a przywróceniu polskich odznaczył się mł. Kowalek, członek SA. Jeden z niemieckich tego miasta też opisał te dni: "Wobaczysz jak bardzo ich w okresie strasnej walki z urogiem w lasach Zaolzia, nie brakło ich jednak po opanowaniu na ulicach Trzyczcu, gdzie wznawiali polskie chorągwie. Zapalili Orła Białego, nieśli go w trumnie przez miasto". Reszty dopełniła maszerująca tamtędy brygada czeska gen. Svobody, której żołnierze według relacji polskiego partyzanta "... przechodząc obok nas, widząc na naszych rękach opaski biało-czerwone, pluli na nas, nazywając nas polskimi świniami".

W efekcie, dzięki pomocy sowieckiej, Czesi zajęli całe Zaolzie wraz z Cieszyńem.

Jakościowo nowa sytuacja powstała z chwilą utworzenia Rządu Tymczasowego. Benes trafnie oceniając sytuację rządu Arceuszowego, postanowił uczynić z możliwości uznania nowego rządu ofertą przetargową w sprawie Zaolzia. Dialog ten podjął R.T. Nad całą sprawą czuwała Rosja, dla której kwestia uznania R.T. przez Benesa stanowiła bardzo istotną rzecz. W czasie pierwszego spotkania charge d'affaires J. Olszowskiego z ambasadorem czeskim w Moskwie Z. Fierlingierem (został potem członkiem BP KPCz), ten pierwszy dał do zrozumienia, że w przypadku "przyjaznego porozumienia" sprawa Polaków na Zaolziu upadłaby automatycznie. Następnego dnia (1 stycznia) Fierlingier odbył rozmowę z Sowietami proponując ogłoszenie przez R.T. deklaracji przedwstępnej w sprawie Zaolzia. Nie uzyskał jednakże aprobaty. Do ponownego spotkania doszło 4 stycznia. Sowietci przychylni się do zdania Fierlingiera w kwestii Zaolzia i wyrazili opinię, że Polska winna je Czechom zwrócić. Wszelako R.T. nie kwapił się do publicznej deklaracji w tej sprawie, nie chcąc sprawić wrażenia lekceważącego stosunku do granic Polski. Z tego samego założenia wychodził ZSKR. Ambasador sowiecki w Polsce Lebediew oświadczył Fierlingierowi, że nie należy przywiązywać wagi do

tego czy Polacy "dadzą jakieś oświadczenie teraz czy później" ponieważ ZSRR stoi na stanowisku nietykalności przedmonachijskich granic Czechosłowacji. Stanowisko Sowietów podyktowane było niechęcią do ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii, która mogła służyć w przyszłości jako środek oddziaływania na obydwie strony. Według Stalina bowiem spory państw będących na etapie "przejściowym" miały być wykorzystywane do wzmocnienia pozycji komunistów w tych krajach wobec grup niekomunistycznych.

Wobec niejasnego stanowiska Benesa Stalin postanowił sięgnąć do bardziej konkretnych argumentów. W swoim liście z 23 stycznia do prezydenta Czechosłowacji, poświęconym sprawie Ukrainy Zakarpackiej, dał mu jednoznacznie do zrozumienia, że w każdej chwili może sprawę tę sfinalizować, tzn. włączyć ją do ZSRR. W takiej sytuacji R.T. mógłby wykorzystać ten fakt w sprawie Zaolzia utrzymując że Czechosłowacja nie posiada już przedmonachijskich granic. Trzy dni później Benes otrzymał depeszę, z której wynikało, że wobec nieustępliwości Czechów w sprawie uznania R.T. ZSRR skłonny jest przyznać Zaolzie Polsce. Z depeszy tej wynikało też, że Polska przygotowuje się już do ustanowienia w Cieszyńskim swoich organów administracyjnych. Wobec takiego dictum Benes 29 stycznia zdecydował się uznać R.T. co oficjalnie nastąpiło 31 stycznia 1945 roku.

1 lutego doszło do wizyty Modzelewskiego u Fierlingera, podczas której ten ostatni podjął problem Zaolzia. Modzelewski odpowiadając stwierdził, że kwestia ta nie będzie stanowić problemu, który mógłby wprowadzić jakieś trudności. Jednocześnie, jak pisał Fierlinger w swych pamiętnikach, przyjął on "bez entuzjazmu" stwierdzenie Modzelewskiego, że korzystając z poparcia ZSRR, Polska pragnie oprzeć swe granice zachodnie nie na Nysie Kłodzkiej lecz Łużyckiej.

Problem ten przycichł do lata 1945 roku, by ze wzmocnioną siłą wybuchnąć w czerwcu. Z jednej strony oddziały czeskie przeszły w rejonie Międzyzlesia i Rudawy Zdroju granicę Polską i poczęły posuwać się w kierunku Kłodzka, z drugiej zaś 19 czerwca oddziały Roli-Zymierskiego weszły do Cieszyńska Wschodniego. Nie wydaje się prawdopodobne, by były to (na pewno w przypadku Polaki) samodzielne inicjatywy. Był to raczej jeden z elementów wzmiarkowanych już teorii Stalina (ciekawie zresztą, że w dn. 17-21 czerwca toczyły się rozmowy moskiewskie w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej). W tym samym miesiącu odbyły się w Moskwie rozmowy polsko-czeskie, których celem było ostateczne ustalenie granicy. Przedstawiciele Czechosłowacji stanęli w kwestii Zaolzia na gruncie granicy z 1938 roku, wysuwając jednocześnie roszczenia do Raciborska, Kłodzka i Głubczyc (już w końcu maja Czesi wysuwali chęć tymczasowego przejęcia administracji na południu Śląska). Tuż przed tym spotkaniem odbyła się w Pradze manifestacja zorganizowana przez Místní Národní Výbor pro Prahu XII. Plakat zapowiadający tę manifestację głosił: "Wielka manifestacja za przyłączeniem Górnego Śląska i Dolnych Łużyc do Czechosłowackiej Republiki". Nie było to zresztą żądania wygórowane. Pobratymcza zapatrywaniami polskimi ONR-owi organizacja (działająca legalnie) "Sdružení za spravodlivé hranice ČSR" żądała granic na Cisie, Dunajcu, Odrze i Wiśle. W tej sytuacji rozmowy zakończyły się fiaskiem.

Impas w stosunkach polsko-czeskich trwał do jesieni 1945 roku. Przerwała go nota polska z 5 listopada, proponująca spotkanie celem rozwiązania nierozstrzygniętych kwestii. W odpowiedzi Czesi (24 listopada) zaproponowali przybycie do Pragi polskiej delegacji dla rozpoczęcia konkretnych rozmów. Po nocie polskiej (27 grudnia) polemizującej z notą czeską, strona polska otrzymała (4 stycznia 1946) kompromisową notę czeską, która stała się podstawą do wazczenia przygotowań do rozmów. Fierlinger anonując 24 stycznia przyjazd delegacji polskiej stwierdził, że "rząd czechosłowacki wysłucha propozycji Polaków, nie przesadzając jednak niczego w ważnych zagadnieniach". Określił Kłodzko jako "nasze historyczne terytorium" i domagał się przyłączenia go do Czechosłowacji. Z kolei komunistyczny minister spraw wewnętrznych W.Nosek przemawiając w Morawskiej Ostrawie po stwierdzeniu, że "nienormalne stosunki hamują obustronny rozwój", zgłosił pretensje do Kłodzkiego, Raciborskiego i Głubczyckiego. Te i inne wystąpienia nie wróżyły nic dobrego dla projektowania rozmów. Delegację polską powitała w Pradze umieszczona w jej centrum, w witrynie wielkiej księgarni, mapa Górnego i Dolnego Śląska, ku którym wyciągały się z dwóch stron polskie i niemieckie szpony. Same zaś rozmowy skończyły się tym samym co i moskiewskie rezultatem. W czasie ich trwania Polska zaproponowała za Zaolzie terytorialnie większy obszar na Dolnym Śląsku. Propozycja ta nie spotkała się z aprobatą strony czeskiej.

Wkrótce po opuszczeniu przez delegację polską Fragi poseł socjalistyczny (so-
cjaliści narodowi) Fr. Uchliřz zażądał wysiedlenia ludności polskiej znajdują-
cej się pod administracją czeską, części Śląska Cieszyńskiego (za Polaków uwa-
żał on tylko tych, którzy przybyli tam po październiku 1938 roku). Jednocześnie
w czeskim sejmie komunistyczni ministrowie Z. Najedlý (oświaty) i W. Nosek odpo-
wiadając na jego interpelację domagającą się zlikwidowania Polskiej Macierzy
Szkolnej zakomunikowali, że do czasu zbadania sprawy wydali zakaz uprawiania
przez Macierz jakiegokolwiek działalności.

Z tymi wszystkimi pociągnięciami korespondował urządzony w dn. 17 marca - 7
kwietnia cykl imprez. Będący jednym z jego elementów "Tydzień Śląski" w Pradze
zakończono uroczystym uchwaleniem rezolucji w obecności wicepremiera dr. Sta-
ransky'ego.

Sytuacja ludności polskiej z chwilą przejęcia administracji na Zaolziu przez
Czechów stała się tragiczna. Przede wszystkim zamieszkujących tam Polaków za-
częto powszechnie uważać za spolszczonych Morawców i całą politykę podporządko-
wano ich reczchizacji. Rozpoczęto odłudzenia we wszystkie formy polskiej ak-
tywności. Polskim nauczycielom zabroniono w szkołach używania języka polskiego
nawet w prywatnych rozmowach. Zakazano przywozu książek z Polski. Władze czeskie
rozwiązały prawie wszystkie stowarzyszenia polskie, w tym Macierz Szkolną.
Rozwiązano nawet kilka śpiewacze. Z 270 polskich przedszkoli jakie istniały w
1938 roku, w końcu 1945 roku zostało 5. W 31 gminach zamknięto szkoły polskie.
Bardziej znanych działaczy aresztowano i niejednokrotnie poddano torturom. Po-
zostali zaś na wolności ograniczone swobodę poruszania się oraz odebrano prze-
puszki graniczne uniemożliwiając im tym samym kontakty z Polską.

Czechizację prowadzono też przez Kościół ewangelicki o bardzo silnych na
Zaolziu wpływach. Już w 1945 roku zamianowano bezprawnie administratorem tego
Kościola Czecha, ks. Winklera. Ten zaś wysłał do zborów, bez porozumienia się
z nimi, a więc wbrew zasadom obowiązującym w tym Kościele, pastorów wyłącznie
czeskiej narodowości. Akcję tę poparły władze czeskie, które np. w Dolnych Błę-
dowicach zaprotegowaly pastora narzuconego zborowi przez Niemców, a Polakowi
usuniętemu w czasie okupacji zabroniono pod groźbą więzienia powrotu do pełnie-
nia funkcji.

Oprócz Zaolzia do napięć polsko-czeskich dochodziło także w kwestii Spisza
i Orawy. Uchwałą Rady Ambasadorów z lipca 1920 roku Polska otrzymała 13 wsi na
Spiszu i 14 na Orawie. W ten sposób, według przesądnych szacunków polskich, mia-
ło pozostać poza granicami kraju około 50 tys. Polaków. W listopadzie 1938 roku
do Polski przyłączono Jaworzynę Spiską, dokonano też drobnych poprawek w Cza-
deckim, na Orawie i Spiszu. We wrześniu 1939 roku cały Spisz i Orawę włączono
do świeżo powstałego państwa słowackiego. W maju 1945 roku powrócono do granic
z 1939 roku. Sprawa tych ziem nie budziła jednakże tak dużych namietności
jak kwestia Zaolzia. W Polsce poświęcono jej wybitnie mało uwagi, tym bardziej
że ludność tam zamieszkała nie miała tak wyrobionego poczucia narodowego jak
na Zaolziu. Spora część ludności słowackiej Spisza i Orawy mówiąca językiem
polskim uważała się wręcz za Słowaków. A i w polskiej części tych ziem było Sło-
waków немало, o czym świadczyła wtedy choćby irredentystyczna akcja Budurika,
a dziś jeszcze istniejąca mniejszość słowacka. Do roku 1947 utrzymał się wyda-
wany w Polsce kalendarz "Przyjaciel Spisza i Orawy", redagowany przez budzicie-
la polskości na tych ziemiach, ks. F. Machaya.

Problem Zaolzia budził w Polsce wiele namietności i znalazł swoje odbicie w
oficjalnych poczynaniach władz. Ówczesny premier Osóbka-Morawski w swoim exposé
w lipcu 1945 roku oświadczył, że stosunki polsko-czeskie muszą być oparte o zro-
zumienie "śluszných, tak z punktu widzenia etnicznego, jak i historycznego,
rozróżnień Polaków do terenów Śląska Zaolziańskiego, zamieszkałego przez większość
polską". Na następnej sesji KRN, w grudniu 1945 roku klub posełski SD zgłosił
wniosek, by w celu ochrony praw i interesów ludności polskiej na Zaolziu utwo-
rzyć konsulaty polskie w Bratysławie i Ostrawie. Odpowiadając nań w kwietniu
1946 roku Modzelewski stwierdził, że Czesi nie zgodzili się na konsulat w Ostra-
wie. Wypowiadając się na tej samej sesji poseł pepecowski Ochab oświadczył, że
100 tys. rzesza Polaków na Zaolziu "śluszenie domaga się powrotu na łono Macie-
rzy". Były to jednakże demagogiczne chwyt, za którymi nie stały żadne realne
poczynania w kierunku odzyskania Zaolzia. PPR realizowała po prostu wzmiarkowa-
ną już taktykę opracowaną przez Stalina. Buńczuczne wypowiedzi polskich i czes-

kich komunistów (z tym, że tych ostatnich w części realizowane) wzmacniały ich pozycję we własnych krajach. Hałaśliwa propaganda komunistyczna w Polsce miała na celu wykazanie polskiego charakteru PPR (Gomułka uznał to za pierwszoplanową sprawę), dalej wytłumaczenie problemu zachodnich ziem ukraińskich, litewskich oraz białoruskich, a także głosu PSL domagającego się wyborów.

Tuż po owym "Tygodniu Śląskim", o którym wspomnieliśmy nieco wcześniej, rząd czeski wystąpił z następną antypolską akcją. Otóż Czesi traktując uchwały poczdamskie ściśle według litery ich brzmienia uważali, że Polska otrzymała tereny byłej Rzeszy wyłącznie do czasu ostatecznych rozstrzygnięć, które dać miała konferencja pokojowa. W połowie kwietnia 1946 roku wysłali oni do ambasadorów "czwórki" specjalną notę, w której żądali dopuszczenia do obrad paryskich, by móc domagać się części ziem zachodnich przyznanych Polsce. Pikanterii temu dodawał fakt, że żądania swoje do tych ziem (Śląsk Opolski, Kotlina Kłodzka, Zagłębie Wałbrzyskie) nazwali oni postulatami do ziem niemieckich względnie poniemieckich co, notabene, natychmiast zauważyła nacjonalistyczna prasa niemiecka. Sama zaś akcja czeska została storpedowana przez ZSRR, który obawiał się włączenia do "spraw rodzinnych" mocarstw zachodnich.

Po zwycięskich dla komunistów wyborach w maju 1946 roku (wraz z socjaldemokratami posiadali oni przewagę w czeskim parlamencie) w oficjalnym stanowisku Polski pojawiły się nowe tony. Pierwszym tego sygnałem był wywiad udzielony PAP (6 sierpnia) przez polskiego posła w Pradze, Wierbiłowskiego. Nie poruszył on już problemu państwowej przynależności Zaolzia oświadczając, że Polsce należy przede wszystkim na zagwarantowaniu praw Polakom mieszkającym na Zaolziu.

Zasadnicze rozmowy przeprowadzili w Paryżu Rzymowski i J. Masaryk. Wszystko wskazywało na to, że już wkrótce dojdzie do podpisania porozumienia. Fierlinger 14 sierpnia oświadczył, że "podpisanie umowy sojuszniczej z Polską jest kwestią najbliższych tygodni, a może nawet najbliższych dni". Nieoczekiwanie jednakże, po mowie Byrnesa, Stalin, który obawiał się w tym momencie usztywnienia polityki amerykańskiej, zrezygnował na krótko z sojuszu polsko-czeskiego, który zamknąłby system dwustronnych sojuszy ZSRR, Polski, Czechosłowacji i Jugosławii. Było to jednak tylko chwilowe intermedium. W styczniu 1947 roku pod wpływem ZSRR Czesi wycofali z forum międzynarodowego przedłożone 9 miesięcy wcześniej postulaty terytorialne na rzecz rozmów bilateralnych, narzuconych przez Stalina. Wszelako pojawiły się jeszcze głosy z żądaniami terytorialnymi wobec Polski i to nie byle kogo, bowiem 28 stycznia zgłosiło je Rude Pravo, zaś na początku lutego sam Gottwald.

Były to już jednak ostatnie odgłosy sporu. Stalinowi widać przeszedł już strach po mowie Byrnesa, wystąpił bowiem z "sugestią" zawarcia układu. Chodziło mu tym razem o zamknięcie owego łańcucha przed zbliżającą się sesją ministrów spraw zagranicznych "czwórki" na temat Niemiec, która miała się odbyć w Moskwie. 10 marca nastąpiło oficjalne podpisanie układu. Tego samego dnia w Moskwie rozpoczęły się obrady ministrów spraw zagranicznych "czwórki".

17 kwietnia zaś St. Jędrzychowski mógł imieniem klubu poselskiego PPR stwierdzić w Sejmie, że "PPR zdawała sobie sprawę z tego, że dla przyjaźni polsko-czechosłowackiej należy od razu otworzyć drzwi szeroko, a nie tylko uchylić furtkę że należy iść nie drogą drobnych targów, a drogą wszechstronnej, opartej na szerokich podstawach współpracy".

Jak wygląda stan obecny? W 1947 roku oficjalne dane czeskie notowały w CSRS 71 tys. Polaków (1950 r. - 73 tys.) W ostatnich latach spisu Polaków nie prowadzono. Opierając się o prace czeskich demografów można przyjąć na rok 1981 szacunkową liczbę około 75 - 80 tys. Polaków. Spadek ten (80 tys. w 1945 roku) spowodowany jest emigracją do Polski oraz przymusową i naturalną asymilacją. W 1974 roku istniały 64 polskie szkoły z 4.978 dziećmi, 49 z nich to szkoły 1 i 2 klasowe (w 1956 roku 85 z 7.983 uczniów). Ponadto istnieją 44 polskie przedszkola z 4.338 dziećmi. W Cieszynie Zachodnim istnieje Gimnazjum Polskie. Ponadto w technikum przemysłowym w Karwinie, ekonomicznym w Cieszynie i gimnazjum w Orzowej znajdują się klasy polskie skupiające ok. 1000 uczniów. Od 1977 roku w studium języków obcych w Ostrawie istnieje kura języka i kultury polskiej. W tym samym mieście na Wydziale Pedagogicznym funkcjonują studia z polskim językiem wykładowym, które rocznie kończy przeciętnie 10 osób.

W 1966 roku założono w wydawnictwie "Profile" w Ostrawie Edycję Polską, któ-

ra do roku 1981 wydała 50 publikacji w języku polskim. Od 1962 roku wychodzi Kalendarz Śląski w nakładzie 7.500 egzemplarzy (do owych 50 publikacji wlicza się i Kalendarz, tak że liczba ta spada do 30 publikacji, tzn. mniej niż 2 rocznie). Ponadto wychodzi miesięcznik społeczno-polityczny "Zwrot" oraz "Głos Ludu" (3 razy w tygodniu 10 tys. nakładu). Dla młodzieży przeznaczone są 2 czasopisma, "Jutrzenka" (1948 r. - 10 tys. nakładu, 1967 r. - 3.400) oraz "Ognio" (5000 - 3.500). Dla pionierów przeznaczone jest pismo "Pionier". W języku polskim w latach 1946 - 1949 ukazywało się katolickie pismo "W Obronie prawdy", zaś w latach 1948 - 1959 ewangelickie "Przyjaciel Ludu".

Organizacją skupiającą Polaków w CSRS jest Polski Związek Kulturalno-Oświatowy.

A. BESKID

Z OBOZU

■ ZSRR - 11 listopada odbyło się plenum moskiewskiego komitetu KPZR, na którym usunięto ze stanowiska I sekretarza organizacji moskiewskiej Borysa Jelcyne. Wcześniej, na posiedzeniu Komitetu Centralnego, Jelcyn skrytykował styl sprawowania władzy przez kierownictwo partyjne, a także zbyt powolne reformowanie systemu społecznego i gospodarki. Tamto wystąpienie Jelcyna nie zostało opublikowane w prasie. Karierę partyjną rozpoczynał Jelcyn w Świerdłowsku, gdzie w latach 1976-1985 kierował miejscową organizacją partyjną. Gorbaczow przeniósł go do Moskwy, ustanawiając szefem najważniejszej organizacji partyjnej. Jelcyn był uważany za jednego z architektów polityki reform i otwartego mówienia o wielu problemach społecznych. Na wspomnianym plenum Jelcyn był atakowany bardzo ostro, zwłaszcza przez działaczy skupionych przy sekretarzu KC KPZR Jegorze Ligaczowie. Przywódcy konserwatywnej grupy w kierownictwie partii. Krytyki Jelcyna dokonali także Gorbaczow. Po usunięciu Jelcyna, robotnicy na wiecach w moskiewskich zakładach pracy wyrażali poparcie dla jego osoby, a w Świerdłowsku, gdzie zezwolił na umieszczenie nazwisk ofiar czystek stalinowskich na pomniku bohaterów rewolucji, doszło do demonstracji ulicznych, gdzie niesiono transparenty wyrażające solidarność z Jelcynem.

■ 1 listopada doszło do wielotysięcznej demonstracji w jednym z parków Mińska, gdzie stoi pomnik Janka Kupały. W czasie wiecu mówcy podnosili sprawę konieczności uczczenia pamięci Białorusinów, którzy zostali zamordowani w latach czystek stalinowskich. Mówiono także o upadku kultury białoruskiej, zaniku znajomości języka, rusyfikacji. Tego dnia demonstrowano także w Rydze. Ok. 2 tys. osób wzięło udział w wiecu pod Pomnikiem Wolności, gdzie świętowano 70 rocznicę ogłoszenia niepodległości Łotwy. Milicja otoczyła kordonem wiecujących, ale nie interweniowała. Do starć natomiast doszło w łotewskim porcie Liepaja, gdzie w czasie podobnych demonstracji milicja aresztowała się rozprężyć wielotysięczny tłum. Kilkanaście osób zostało dotkliwie pobitych.

■ Roj Miedwiediew, niezależny historyk rosyjski mieszkający w Moskwie, wypowiedział się w wywiadzie dla jugosłowiańskiej agencji prasowej Tanjug na temat niszczenia archiwaliów dotyczących zbrodni stalinowskich. M.in. stwierdził, że w czasach Chruszczowa zapadła decyzja o zniszczeniu całego zasobu archiwalnego NKWD. Wtedy także zniszczono wszystkie archiwa obozów pracy. Uzasadniając zniszczenie tych dokumentów Chruszczow miał powiedzieć: "A co będzie, jeśli zaczniemy badać te wszystkie sprawy i karać wszystkich, którzy pisali anonimy, przesłuchiwali, sądzili? Będziemy musieli ukarać więcej ludzi niż było ich w obozach!" Biuro Polityczne KPZR zdecydowało również o zniszczeniu wszystkich akt Stalina. Nastąpiło to zaraz po jego śmierci. Specjalna grupa wyjmowała dokumenty z sejfów Stalina i paliła, bez badania ich zawartości.

■ Czechosłowacja - 18 grudnia plenum KC KPCz wybrało sekretarzem generalnym Milosza Jakesza, który zastąpił na tym stanowisku Gustawa Husaka. Husak, który był szefem partii od 1969 r. nadal pozostał prezydentem Czechosłowacji i członkiem prezydium KC KPCz. Po 18 latach szefem KPCz został znowu Czech. Zarówno Husak jak i Aleksander Dubczek byli Słowakami. Ocenił się, że wybór Jakesza był rozwiązaniem kompromisowym, uzgodnionym pomiędzy dwoma zwalczającymi się skrzydłami partii: jedno reprezentuje Ukraińiec Vasil Bilak, jeden z głównych sprawców interwencji w 1968 r., natomiast ostrożni reformatorzy skupiają się przy premierze Ludomirze Strougalu. Jakesz od 1981 r. kierował polityką gospodarczą

partii i popierał niektóre reformy, np. zezwolił na większą samodzielność przedsiębiorstw w handlu z zachodem. W czasie "wiosny praskiej" został przewodniczącym Centralnej Komisji Kontroli Partijnej. W okresie po interwencji wojsk Układu Warszawskiego nadzorował czystkę w partii, która zakończyła się wyruszeniem z KPCz ok. pół miliona zwolenników reform i A. Dubczeka. Dysydenci z Czechosłowacji oświadczyli, że nominacja Jakesza jest zmianą o charakterze personalnym, a nie politycznym.

W grudniu na ulicach Pragi doszło do demonstracji na rzecz poszanowania praw człowieka. Demonstranci z transparentami zgromadzili się w centrum Starego Miasta i próbowali przejść przez miasto, ale zostali rozprzeczni przez milicję. Zatrzymano kilkanaście osób.

NRD W końcu listopada Służba Bezpieczeństwa NRD dokonała rewizji w pomieszczeniach kościoła ewangelickiego pod wezwaniem Syjonu (Zionskirchgemeinde) w Berlinie. Aresztowano także 20 niezależnych działaczy ekologicznych skupionych wokół Umweltbibliothek - Biblioteki Ochrony Środowiska działającej na terenie tej parafii. Grupa ta określa się mianem "Inicjatywy na rzecz pokoju i praw człowieka". Wydają oni niezależny biuletyn "Grenzfall" (Stan Krytyczny) w ilości ok. 300 egzemplarzy. Najbardziej znanymi aktywistami tej grupy są filozof Wolfgang Templin, były pracownik naukowy Instytutu Filozofii Akademii Nauk NRD oraz piosenkarz Stefan Krawczyk. Po kilku dniach aresztowanych zwolniono, ale biuletyn przestał się ukazywać.

Jugosławia W połowie grudnia miały miejsce duże strajki w kopalniach miasta Kakanju (Bośnia i Hercegowina). Górnicy wylegli na ulice i na wspólnej masowce zażądali podwyżki płac oraz rozliczenia administracji zakładowej i partijnej z defraudacji społecznych pieniędzy. Pojawiły się także głosy o potrzebie powołania niezależnych związków zawodowych. Po negocjacjach, obiecano górnikom podwyżkę płac. Belgradzki dziennik "Politika" napisał: "Kakanjski strajk pokazał, że dopiero, gdy ludzie zatrzymują maszyny i wychodzą na ulice, zaczyna się szukać rozwiązania problemów".

Rumunia 15 grudnia doszło do burzliwych zajęć ulicznych w Braşow. Jest to drugie, co do wielkości miasto Rumunii, liczy ok. 400 tys. mieszkańców. Braşow jest stolicą Siedmigródu zamieszkałego przez liczną mniejszość niemiecką i węgierską. Bunt rozpoczął się w fabryce traktorów "Czerwony Sztandar", gdy oświadczone robotnikom, że ich płace zostaną zmniejszone, a znaczna część będzie zwolniona z pracy. Gdy działacze partijni zażądali od robotników nocnej zmiany, aby udali się do urn wyborczych, gdyż właśnie odbywały się "wybory" do rady narodowej, rozżaleni ludzie wyszli na ulicę. Zajęcia miały bardzo dramatyczny przebieg. Tłum, liczący ok. 20 tys. osób, ruszył przez miasto niszcząc wszystko, co napotkał na swej drodze. Przewracano i podpalamo samochody, demolowano posterunki milicji. Demonstranci wznosili okrzyki "Śmierć Ceausescu", "Wolności i chleba". W centrum miasta spalono "tuz" i demolowano gmach komitetu partii. Na bruk leciały portrety Ceausescu, które rozrywano i palono.

W starciach ulicznych zginęło 2 milicjantów: jednemu poderżnięto gardło, drugi został stracony przez tłum. Agencje zachodnie w swych relacjach zwracały uwagę na brutalność tłumu, który latami tłumioną agresję wyładował w aktach zemsty i niszczczenia. Wieczorem na ulice Braşow wyjechały wozy pancerne. Tysiące żołnierzy i milicjantów rozprędkło demonstrantów. Nie używano przy tym broni palnej, tylko pałki i wodę. W mieście ogłoszono stan wyjątkowy. Przez kilka dni zamknięte były wszystkie sklepy i szkoły. Kilka dni po zajęciach w Braşow, rząd Rumunii ogłosił, że w 1988 roku będą większe dostawy żywności na rynek oraz zapowiedziano podwyżkę płac. Od kilku lat Rumunia przeżywa wielki kryzys gospodarczy. Brakuje praktycznie wszystkiego, chleb jest na kartki. W czasie zimy temperatura w mieszkaniach nie przekraczała 12 stopni na skutek oszczędności energetycznych. Ruch samochodów prywatnych został do wiosny zabroniony. Te posunięcia były konsekwencją drastycznego programu oszczędnościowego, który miał umożliwić Rumunii spłatę zachodnich kredytów. W roku ubiegłym rozlegały się głosy sprzeciwu przeciwko opanowaniu przez rodzinę Ceausescu wszystkich kluczowych pozycji w państwie. Żona Ceausescu - Elena, jest członkiem Biura Politycznego i odpowiada za politykę personalną, syn - Nicu, kieruje gospodarką, a jego 5 braci pełni kierownicze funkcje w administracji państwowej i wojsku.

S Y B I R

Lejtnant Kola kwaterował w domu wujka Mariana. Ludzie mówili, że to jednostka NKWD. Poznawali po kolorze otoków. Zamieszkał w dużym pokoju i rankiem wyciągał na podwórze. Wyciągał zurawiem kubeł wody ze studni i oblewał się do pasa. Prychał i parskał. Potem gimnastykował się dla rozgrzewki. Burzystyn wyskakiwał z budy na całą długość łańcucha i oszczekiwał go za jadło.

- Nu, sabaka! - wabił go Kola. - Nie boj się! Ja swój!

Po tygodniu pies już nie szczekał na jego widok. Ale pogłaskać się nie dawał. Warczał gardłowo i tulił uszy.

- Charaszaja sobaka - pochwalił go lejtnant Kola. Nosił długie buty iz miękkiej skóry, waraszczone w harmonijkę. Bluzę sciągał mocno pasem, na piersi brzęczało mu kilka medali na wążeczkach.

Stołował się u nas. Ale nigdy nie zapomniał przynieść prowiantu ze swojej oficerskiej kantyny. Przynosił w chlebaku puszki tuszonki, szmalcu, amerykańskie masło orzechowe. A mnie raz podarował przysmak w postaci czekolady. Oni mieli takie rzeczy z amerykańskich dostaw.

Po posiłku dziękował grzecznie i nigdy nie omieszkiał pochwalić smaku potraw. - Sowiet, ale mnie się zachować - stwierdziła żona wujka Mariana. Ciotka z Warszawy była tego samego zdania.

Tylko babka milczała. Nawet mruczała coś pod nosem. Ale ona była uważana za dziwaczkę.

Mężczyzna z niego był postawny, o szerokiej dobrodusznej twarzy z zadartym nosem.

- Nos ma kościuszkowski - zaśmiał się wujek Marian.

Raz, będąc po kieliszku, powiedział mu o tym podobieństwie do naszego bohatera narodowego. Lejtnant Kola uśmiechnął się i przytaknął grzecznie.

- Kto to jest? - zapytał po chwili - ktoś z waszej rodziny?

Wujek musiał być po kilku kieliszkach, gdyż mimo ostrzegawczych spojrzeń ciotki wdał się w buńczuczną opowieść o przewagach naczelnika Kościuszki nad Moskałem.

Lejtnant Kola cały czas uśmiechał się później powiedział coś o carach krwio pijkach, co gnębili własny naród i podbijali inne.

Wujek Marian ośmielony jego aprobatą, przeszedł nagle do czasów nowszych i zaczął wywodzić o wojnie z bolszewikami w dwudziestym roku.

- Daliśmy wam baty! - oświadczył jako uczestnik tamtej kampanii.

Wtedy jego żona kopnęła go pod stołem aż stęknął z bólu. Popatrzył na nią z oburzeniem, po chwili zrozumiał i zamilkł.

Wujek był historykiem z zamiłowania i nieraz przepyttywał mnie z historii wojen szwedzkich, kozackich, napoleońskich i najnowszych. Egzaminu wypadali pomysłnie i stosunki między nami układały się po partnersku. Moja pasja do historii narodziła się podczas długiej choroby, kiedy to zacząłem pożerać Szajnochę, Smoleńskiego, Korzona, Kukiela i Askenazego; wszystko, co znalazłem w bibliotece ojca.

Ale wobec lejtnanta Koli wujek Marian został poskromiony w swej elokwencji historyka dziejów ojczyźnych.

- Co ty wygadujesz! - strofowała go ciotka. - Przecież to Sowiet, enkawudziśta! Jeszcze przyjdą do ciebie nocą i zabiorą...

- Na Sybir! - dokończyła babka, która zdawała się drzeć dotychczas.

Później jednak wujek Marian wpadł na chytry pomysł i mnie zaczął używać jako rzecznika swych racji.

Niby przypadkowo wczynałem z lejtnantem Kola rozmowy na tematy zasadnicze. Podobala mi się moja rola i starałem się, jak mogłem. Zwykle przed kolacją wujowie (w tych pogwarkach brał też udział wuj Władysław) przygotowywali mnie starannie i uzbrojeni w szereg argumentów, zaczynałem na przykład o powstaniu warszawskim. Przede wszystkim szło o postój Armii Czerwonej na linii Wisły, który trwał do końca powstańczego walk. Wujowie oczekiwali na odpowiedź lejtnanta w napięciu.

Mówił o wymogach strategii, oddaleniu od zaplecza i konieczności dłuższego przygotowania się do następnego skoku.

Rozmawialiśmy swoistym wołapikiem polsko-rosyjskim, rozumiałym dla obu stron. Następną "zatrutą strzałą" miało być pytanie o 1939 rok i nóż w plecy zadany nam ze Wschodu, jak powiedział wujek Marian. Ale i tym zastępczym dyskusjom położyły kres ciotki.

- Grupcy! - rzekła podniesionym głosem żona wujka Mariana. - Czy sobie wyo-

brażacie, że on jest tak naiwny i uwierzy, że dzieciak mówi sam za siebie?

Wujek Władysław jako starszy i bardziej doświadczony od razu przyznał ciotce rację. Zapamiętałem powiedzenie ciotki. Mówiła o niewyparzonej języku wujka Mariana. Można było sobie wyobrazić, jak się go wyparza we wrzasku.

Odtąd przy stole panowało milczenie, przerywane jedynie zdawkowymi uwagami o jedzeniu, pogodzie itp. Lejtnant Kola lubił spoglądać na szafkowy zegar wiszący na ścianie. Chwalił jego dźwięk i punktualność, z jaką wahadełka wybijała godziny. Zadzierał głowę i słuchał.

Jeszcze był epizod z jego ordynansem Wanią. Przyniósł naszemu lejtnantowi zapieczętowany list. Spocony, dyszał; musiał się spieszyć z tym meldunkiem. Lejtnant Kola akurat jadł śniadanie. Ordynans stanął w progu kuchni. Miał twarz prostodusznego pastuszka z sielskich obrazków. Ciotka z Warszawy wręczyła mu kubek mleka i kawałek chleba. Podziękował i zaczął pić żapczywie. Wtedy lejtnant Kola nie podnosząc głowy, znalazł stożu wrzasnął coś po rosyjsku. Ordynans pospiesznie odstawił kubek. Chleb zatrzymał w dłoni. Ponowny wrzask lejtnanta pozabawił go chleba. Tak zastygł wyprężony w służbowej postawie i patrzył gdzieś w górę.

- No tak - powiedział jadowicie wujek Marian. - U nich zawsze była wierchuszka i swołocz.

A potem nastąpiła ta pamiętna noc. Obudziło mnie walenie do drzwi, tupot kroków, podniesione głosy.

Zerwałem się z łóżka i uchyliłem drzwi kuchni. Były tu ciotki w koszulach nocnych. Wujek Marian wciągał pospiesznie buty. Babka z siwymi, cienkimi jak mysie ogonki warkoczykami. Wszyscy otaczali kręgiem pocztyniona Zielińskiego.

- Wybierają jak z saka - mówił zduszonym głosem. - Mają spać i biorą wszystkich naszych. Ładują na ciężarówkę i wio! A ten nasz Kola kieruje całą akcją. Znaczą komandir. Głuchy na płacz, wszystko. Moja stara to po rękach chciała go całować, jak brali naszego Józia. A on naganem chłopaka pod żebra i skoro, skoro...

- Gnają na Sybir! - odezwała się babka. Złożyła dłoń i zaczęła odmawiać litanie do Matki Boskiej.

- Mamę przestali! - krzyknął wujek Marian. Ona jakby go wcale nie słyszała i zawodziła jeszcze głośniejsze.

- Trzeba ostrzec Władysława - powiedziała ciotka z Warszawy i narzuciwszy na koszulę płaszcz wybiegła z domu. Po cichu na palcach wróciłem do pokoju. Sybir powtarzałem. Wyobraziłem sobie coś okropnego, ponurego jak piekło. Z tym Sybirem zapadłem w mocny sen. Następnego dnia lejtnant Kola zbudził się dopiero przed samym południem. Jak zwykle wybiegł do studni. A Burzdyn wyszedł z budy i zamachał ogonem. Też polubił ruskiego. Często dostawał od niego puszki z resztkami konserw do wylizania.

Lejtnant Kola oblał się wodą z kubła. Pryskał i parękał. Stałem z boku i patrzyłem na niego pilnie. Uśmiechnął się do mnie. Wyciągnął rękę, chcąc zwichrzć mi włosy. Odsunąłem się na bezpieczną odległość. Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem. Coś mruknął i ponownie oblał się wodą. Znacznie później dowiedziałem się, że wyłapywanych nocą akowców umieszczono w obozie pod Warszawą. Pierwszy rzut został uwolniony przez ludzi z lasu. Inne wywieziono bez przeszkód towarowymi pociągami na Wschód.

Z "Portretu artysty z czasu
dojrzałości", Warszawa 1987,
NOW-a

BIĄŁE PŁAMY?

Przedruk z nr. 37 '87 "Przeglądu Wiadomości Agencyjnych"

Znak zapytania w tytule oddaje istotę wszystkich dyskusji jakich wiele ostatnio wokół tak zwanych białych płam w historii. Bo cóż to takiego te białe płamy? Obszary niezbadane, zafałszowane, niedostatecznie rozpoznane? I właściwie dlaczego to spory wybuchły teraz, tak nagle, wtedy gdy odgórnie "zadekretowano" wymazywanie białych płam?

Ostatnio odbyły się w Warszawie dwa spotkania dyskusyjne poświęcone białym płomom: jedno w Towarzystwie Miłośników Historii, drugie w kościele św. Trójcy na Solcu. Obydwa przy dużej frekwencji i z udziałem znanych historyków. Na obu podkreślano z naciskiem, że temat nie został "wywołany", nie jest żadnym wianiem się, ani odpowiedzią na oficjalną kampanię, ale jest wyłącznie rezultatem "społecznego zapotrzebowania".

Dyskusje te miały niewątpliwie swój urok, ale ich uczestnik nie mógł przecież jakoś uwolnić się od myśli, że tak naprawdę to nie wiadomo czy rzecz idzie wyłącznie o jakieś białe plamy.

Partyjno-państwowa komisja nadzwyczajna historyków polsko-radzieckich, jej prace pozostawały, słusznie, na uboczu tych dyskusji. Wydaje się, że ta sprawa została dostatecznie wyjaśniona w liście, jaki przedstawiciele PTH skierowali do władz państwowych PRL. To, że stanowiska wielu historyków i władzy często nie pokrywają się, przestało już kogokolwiek dziwić. Dążenie władzy do wymazywania białych plam budzi uzasadnione podejrzenia, że chodzi nie tyle o historyczną prawdę, co raczej o narzucenie "unowocześniejszej i dostosowanej do ekologiczności" wersji historii, która niejako zadekretowana i pobłogosławiona przez rząd i partię, stać się miała obowiązującym kanonem. Niezależni historycy taki kanon muszą odrzucić.

Ich postulatem jest udostępnienie archiwów. I jest to jeden z najprostszych sposobów wymazywania białych plam. Oczywiście nikt i nigdy nie poradzi sobie z tymi plamami, które powstały wskutek zniszczenia archiwaliów. Ale tutaj również konieczna jest deklaracja władz, np. taka: Nie napiszcie źródełowej historii PSL, bo myśmy zniszczyli ich archiwa, nie ma ich, nie istnieją. Kropka.

Ale białe plamy to nie tylko i nie przede wszystkim problem wiedzy o historii, nie tylko "przymusowy brak badań" (określenie Tadeusza Łepkowskiego) i nie tylko cenzura. To również autocenzura i najważniejsze - "nadużywanie historii" (Bronisław Goremek), czyli jej interpretacja. Nie chodzi o to, żeby odmówić prawa głosu panom Walichnowskiemu czy Kowalskiemu. Chodzi wyłącznie o to, żeby udzielić głosu również np. Kerstenowej i żeby Kerstenowa chciała mówić; chodzi o "równouprawnienie w publicznym dyskursie" (Adam Michnik).

I tutaj, można powiedzieć, zaczynają się schody. Po pierwsze: czy niezależni historycy chcieliby wystąpić, powiedzmy w tv, obok pana Walichnowskiego; po drugie czy by mogli; i po trzecie: z czym mianowicie mieliby wystąpić. Zostawmy dwie pierwsze wątpliwości. Wystarczy trzecia. To prawdziwy gąszcz.

Idzie bowiem nie tylko o upowszechnianie, ale i odfalszowanie historii. Właściwie większość spośród niedyspozycyjnych historyków, począwszy od specjalistów XVII wieku, może wrzucić jakieś kamyczki (czasem glazy) do tego zapuszczonego ogródka. Potrafiliby to zrobić: Wójcik, Kostworowski, Łepkowski, Kinniewicz, Ajnenkiel, Kerstenowa, Socha (gdyby tylko chciał się ujawnić) i mnóstwo innych.

Samo tylko wyliczenie tematów, które historycy skłonni są uważać za białe plamy zajłoby pół numeru PWA.

Nie wyliczanka wszakże wydaje się najważniejsza. Istotne jest, że wśród historyków dominują, wydaje się, dwa punkty widzenia. Jedni nie przeceniają znaczenia upowszechniania wiedzy. Czy np. sprawa Katynia jest białą plamą, czy nie jest? - pytają. Czy prawda o Katyniu, oficjalnie ogłoszona, zmieniłaby jakąś kondycję polskiego społeczeństwa, jego zdolność postrzegania historii najnowszej jako procesu powstawania i utrwalania się mechanizmów zależności?

Tej grupie sceptyków przeciwstawiają się optymiści, którzy utrzymują, że znaczenie prawdy historycznej dla ogółu społeczeństwa bywa większe niż zdają się sądzić specjaliści - historycy. Michnik ujmując to w lapidarną formułę: Prawda o Katyniu nie może być żadną rewolucją dla Krysi Kerstenowej, ale będzie nią z pewnością dla jakiegoś Iłaińskiego. (Michnik ma oczywiście na myśli polski punkt widzenia na problematykę stosunków polsko-radzieckich. Takiego punktu widzenia dość trudno oczekiwać od komisji partyjno-państwowej.)

Wydaje się, że rzeczywistych białych plam w historii nie ma już zbyt wiele. Przeliczenia w oficjalnej historiografii uzupełniane są przez wydawnictwa podziemne i emigracyjne. Istotnie ma rację Michnik twierdząc, że każdy z tych obiegów ma swoje własne białe plamy.

Rozwiązaniem realnym nie wydaje się nawoływanie do równouprawnienia tych wydawnictw w oficjalnym obiegu czytelnictwa. Znacznie realniejsze, choć przecież wcale nie prostsze, wydaje się dążenie do poszerzenia zainteresowań każdego z istniejących obiegów, wzajemne dostrzeganie swych osiągnięć. Historyk może i powinien istnieć tu i tam. To chyba naprawdę jedyny sposób na białe plamy, jaki w ogóle da się wymyślić. Inaczej białe plamy i dyskusje o nich będą nas wiecznie prześladować.

Z PRASY NIEZALEŻNEJ

● Mówi się o rozbrojeniu, moskiewski gołąbek pokoju unosi się nad światem głosząc wazem i wobec dobrą wolę i najlepsze zamiary ZSRR. Tymczasem jednak - jak donosi "Observator Wielkopolski" (nr 109 '87), powołując się na U.S. Arms Control and Disarmament Agency - siły zbrojne Kraju Rad znajdują się obecnie na terytoriach 22 państw, przy czym tylko w NRD stacjonuje 380 tys. żołnierzy radzieckich, w CSRS - 80 tys., na Węgrzech - 65 tys., w Polsce - 40 tys., nie licząc oczywiście 115 - 120 tys. żołnierzy działających powstanie narodowe w Afganistanie. Bazy wojsk radzieckich znajdują się m.in. w Syrii, Libii, Etiopii, Jemenie, Algierii, Nikaragui, Peru, Iraku, Laosie, Angoli, Kongo, Mali, Mozambiku i na Seszelach. W 1983 roku armia ZSRR liczyła 4,4 mln żołnierzy, podczas gdy USA - 2,2 mln. Przy czym aż 6 państw Układu Warszawskiego (w tym oczywiście i Polska) znalazło się w pierwszej dziesiątce krajów o największej liczbie wojsk w stosunku do liczby mieszkańców. To nie wymaga komentarza, Polska ponosi oczywiście znaczne koszty w utrzymaniu własnej armii (460 tys.), a zarazem w zbrojeniach ZSRR, który Polsce zapewnia tzw. parasol atomowy. Stąd też obciążenie polskiego budżetu wydatkami na cele wojskowe jest dla kraju dotkniętego głębokim kryzysem ekonomicznym, wyjątkowo uciążliwe. Znajduje to odzwierciedlenie m.in. w sytuacji polskiego szkolnictwa, służby zdrowia itd. Wystarczy powiedzieć, na 1 nauczyciela w Polsce przypada 36 dzieci, podczas gdy np. w Danii i Szwecji - 20 (gorzej niż u nas jest tylko w Turcji). A to samo dotyczy opieki lekarskiej. U nas jeden lekarz przypada na 541 osób, podczas gdy np. we Włoszech - 280. Pod względem wydatków na ochronę zdrowia Polska zajmuje 17 miejsce w Europie, a jeśli chodzi o oświatę - przedostatnie!

● Terror niby złagodniał, ale biuletyny "S" nadal pełne są doniesień o zastrzymaniach, przesłuchiowaniach, rewizjach, używaniu pięści i pałek wobec zatrzymanych, kolegiach, grzywnach, zwolnieniach z pracy itp. W Gnieźnie milicja zatrzymała 19-letniego ucznia technikum, Macieja Chosińskiego i dwóch jego kolegów za malowanie napisów z hasłami "S" na murach domów. Chosińskiego kilkakrotnie bito pięściami i pałką, po czym nagiego wrzucono do celi z wybitym oknem, gdzie spędził całą noc. Następnego dnia przewieziono go na kolegium, gdzie bez żadnej rozprawy wymierzono mu grzywnę 50 tys. złotych plus 30 tys. nawiązki za "zabrudzenie" ścian. Pozostałych potraktowano łagodniej, wymierzając im kary po 20 tys. zł. plus 13.515 zł tytułem zwrotu kosztów za oczyszczenie zamalowanych budynków. Jak podał niedawno Zbigniew Romaszewski (PWA nr 36 '87), po nowelizacji ustawy o wykroczeniach mieliśmy 650 kolegów, które wymierzili "obwinionym" po trzydzieści parę tys. złotych grzywny. Milicja zarekwirowała ponadto 15 samochodów. Rekwiruje się zatrzymanym również osobistą gotówkę, masywno do pisania i magnetofony. Nadal trwa akcja zwolnień z pracy, pod różnymi pretekstami. Ostatnio - m.in. tych, którzy występowali do sądów o rejestrację szkieletowych ogniw "Solidarności".

● Jak doniósł PWA (nr 34 '87), w Gorzowie i Międzyrzeczcu nadal trwają protesty przeciwko zamiarowi władz przekształcenia zespołu fortyfikacji niemieckich, zbudowanych w 1934 r. w łuku Odry i Warty (tzw. Międzyrzeckiego Rejonu Umocnień) na "składowisko odpadów radioaktywnych". Ofertę na składowanie tego typu odpadów złożyli podobno Szwajcarzy, zaś rząd PRL ponoć ją przyjął licząc zapewne na spore wpływy dewizowe. Międzyrzeczce i Gorzów nie chcą jednak atomowego śmietnika. 27.IX.-4.X. ub. roku odbyła się w gorzowskim kościele św. Wojciecha głódówka protestacyjna, w której uczestniczyło 16 osób. W tym samym czasie - w ratuszu obok - odbywały się kolegia, które wymierzili 20 osobom grzywny na łączną sumę 586 tys. złotych. Wkrótce potem odbyła się uliczna manifestacja, w której uczestniczyli m.in. działacze WiP z Gorzowa, Szczecina i Wrocławia. Niesiono transparenty: "Nie chcemy śmietnika atomowego", "Chcemy żyć". Milicja nie interweniowała. Kolejne manifestacje zapowiedziano na wiosnę.

● Również WiP-owi (o czym mówi nr 37 '87 PWA) zawdzięczać należy akcję na rzecz umożliwienia przyjazdu do Polski Anatolowi Jaworskiemu, młodemu Polakowi mieszkającemu w Żeleznogorsku k. Kurska. Jego rodzice byli po 1939 r. wywiezieni do Kazachstanu i zmarli kilka lat po wojnie, nie doczekawszy się akcji repatriacyjnej w 1956 roku. Po bezowocnych staraniach, by uzyskać paszport na wyjazd do Polski, w 1979 roku Jaworski próbował nielegalnie przekroczyć granicę, za co przesiedział w "psychuszcze" do 1983 roku. W sprawie Jaworskiego, który zapowiedział podjęcie głódówki protestacyjnej, WiP i jego sympatycy wysyłają listy do ambasady ZSRR w Warszawie.

● Co zrobić z milionem dolarów, które Kongres amerykański przyznał "Solidarności"? Sprawa została rozstrzygnięta. Pieniądze zostały przyjęte, ale przeznaczone na cele społeczne, konkretnie - ochronę zdrowia i życia ludzkiego w naszym kraju, o które oficjalna służba zdrowia coraz mniej się troszczy. Pieniądze te nie zostaną jednak przekazane Ministerstwu Zdrowia, które z pewnością przeznaczyłoby pieniądze na podniesienie komfortu leczenia... tegoż ministerstwa oraz MSW i MON, a w więc tych placówek, w których leczą się promieni i ich uprzywilejowane rodziny, lecz utworzonej specjalnie fundacji pn. Fundusz Społeczny "Solidarności". Wniosek o rejestrację tego funduszu - jak poinformował TM nr 225 '87 - wpłynął już do sądu. Ciekawi jesteśmy czy władze zarejestrują Fundację, która chce służyć całemu społeczeństwu. Wiemy w każdym razie, że Papię pobłogosławił zamiarowi. Na szczęście - jak oświadczyła przewodnicząca Komitetu Założycielskiego fundacji, doc. dr hab. Zofia Kuratowska - Fundusz Społeczny "Solidarności" będzie działał niezależnie od tego czy władze się na jego legalizację zgodzą czy nie. A - jak wiemy - szykuje się następny milion dolarów. Też amerykańskich.

● Biuletyn Stocznicy Gdańskiej "Rozwaga i Solidarność" (nr 62 '87) doniósł o bardzo ciekawej działalności sztabowców LWP, którzy przygotowują specjalne ulotki na wypadek wojny. Oto cytowane przez ten biuletyn próbki: "Żołnierzu! Rozpoczęta przez imperialistów wojna przerwała spokojną, twórczą pracę naszego narodu. Wrogę wyrwać chce z niego wszystko co ludzkie, zamienić nas w swoich niewolników, zawiązać odwiecznie polskimi ziemiami. Bądź czujny! Miej zawsze napięty słuch, otwarte oczy, broń gotową do strzału. Nie daj się zaskoczyć - uniknijcieś niewoli, hańby swojej i pododdziału. Albo: "Nadszedł czas bezpośredniego starcia z wrogiem. Nie pozwolimy, by nasz naród jeszcze raz przeżył okrucieństwa zbirów imperialistycznych. Z nami są bohaterzy żołnierze radzieccy i innych sojuszników armii. Pamiętacie! Jesteście żołnierzami LWP. Jesteście żołnierzami Armii Układu Warszawskiego. Z honorem wypełnicie swój internacjonalistyczny obowiązek". A tymczasem walka o pokój trwa. Podpisuje się rozbrojeniuwe układy i myśli się już o następnych. A jednocześnie mamy być "zwarcici i gotowi", by spełnić "internacjonalistyczny obowiązek". Przeciwno komu i w imię czego? Sztabowcy zapomnieli najwyraźniej o znanym żarcie Jacka Federowicza: Nie czekajmy na wybuch III wojny światowej. Najlepiej wypowiedzmy USA wojnę sami. A nuż przyjdą, aby nas... okupować?

● Warszawskie "Wiadomości" (nr 257 '87), powołując się na wypowiedź prof. Chramowa (dyrektora Instytutu Historii ZSRR), który niedawno bawił w Warszawie, aby "narodzić się" z polskimi kolegami po fachu co do sposobu i zakresu wypełniania tzw. pustych pól w historii, poinformowały, że w ZSRR znajduje się 70.000 zekopów krt, które w ogóle nie są udostępnione pracownikom nauki. Co zaś do "prawników" i historyków radzieckich, to właśnie dyskutuje się w gronie specjalistów na temat... periodyzacji dzieł ZSRR, NEP-u i kolektywizacji, o procesach lat 30-tych, tajnym układzie Ribbentrop - Molotow, wywózkach Polaków na Sybir, Katyniu czy procesie 16-tu - rzecz prosta - ani słychu, ani dychu. Profesor Chramow radził polskim kolegom, aby zajęli się raczej historią partii robotniczych w Polsce. Dobrze i to. Ale czy ta historia powinna zajmować się "historycy PZPR", znani już i wypróbowani manipulatorzy?

● W 1968 roku KOS-ambasador w Warszawie zwrócił uwagę na historyczne spotkanie podczas Synodu metropolity Kościoła Ukraińskiego w Lwowie (urzędującym stałe w Rzymie, bo władze radzieckie ani śmyślać nie chcą o legalnym działaniu tego Kościoła na Ukrainie) z przywódcą Kościoła polskiego i ukraińskiego wyciągnęli do siebie braterską dłonie w geście pojednania i wymienili pocałunki pokoju. "Przebaczymy i prosimy o przebaczenie" nastąpiło więc również w stosunkach polsko-ukraińskich. Glomp stwierdził: "Mamy winy jedni wobec drugich. A gdzie są winy, tam trzeba mówić. Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy". Lubaczewski "...wzywamy do braterskiej dłoni do Braci Polaków na znak pojednania, przebaczenia i miłości". A potem dodał: Ponieważ jesteśmy wyznawcami z naszej Ojczyzny i nie możemy obchodzić Wielkiego Jubileuszu w soborze świętej Sofii w Kijowie ani w Katedrze w Lwowie, zapraszamy hierarchię Kościoła Polskiego do wzięcia udziału wraz z Ojcem Świętym i z nami w uroczystościach, w skromnym naszym soborze świętej Sofii w Rzymie. Mamy nadzieję, że wezmą w nich udział również pielgrzymi ob polacy, których w tym czasie nie powinno zabraknąć w Rzymie.

● Nowotarski "Janosik" (nr 116 '87) pisał: "Coraz wyraźniej widać, że dni ekipy Jaruzelskiego są policzone. Gospodarka pożerana żywem przez przemysł su-

rowcowy wali się w oczach, PRL plaży... A dalej: "Kuroń ma rację - trzeba nam innej, praktycznej "Solidarności". Tej, która nas wyciągnie z wody, ziedzieństwa, cwaniactwa, bałaganu, niegospodarności, śmietników w każdym rowie. Także i do tej "Solidarności" jednak droga jest tylko przez pokazanie czerwonej siły. Jak w sierpniu". Być może, ale dobre chęci nie wystarczą, a "Solidarność" nie jest już zdolna do porwania mas. No i warunki jeszcze nie te. Kuroń może sobie mówić co chce, ale żeby społeczeństwo zachowało się jak w sierpniu - trzeba widocznie czegoś więcej niż tęsknota za ładem i normalnością. Poczekałmy: szykowana "rewolucja cenowa" na pewno nie przejdzie "czerwonymu" na sucho.

W nr 224 '87 TM ukazał się list Anki Kowalskiej, protestującej przeciwko wydaniu przez Oficynę Wydawniczą "Rytm" grafomańskiej - jej zdaniem - szmiry Stefana Bratkowskiego pt. "Trzy teatry", a zwłaszcza sztuki "Damski pokój". Autorka listu uważa, że przekroczone zostały wszelkie normy i zasady przyzwyczajonych. Stało się coś gorszego niż wydanie swego czasu Aleksandra Dalcza "Umiędraczonej i zmartwychwstałych" przez wydawnictwo "Azyt", a to dlatego, że "Rytm" jest wydawnictwem "wspierającym grupy RKM NSZZ "S" regionu Mazowieckiego", a książka została sfinansowana przez Fundusz Wydawnictw Niezależnych. W nr 226 TM ukazała się odpowiedź skrytykowanej - z autora i Wydawnictwa - dość słabo jednak odpięrająca zarzuty Kowalskiej. Niemniej sprawa ciekawa. I nie ulega wątpliwości, że "Trzy teatry" będą teraz czytane, choć z pewnością nie jest to literatura najwyższego lotu (Bratkowski jest lepszy w publicystyce i szkoda, że się jej nie trzyma).

KPN-owski "Wolny Czyn" (nr 10 '87) podał listę pism i biuletynów, ukazujących się w naszym regionie. Wymieniając pisma związane z RKM NSZZ "Solidarność" wymieniał biuletyn "Wujek", który się już raczej nie ukazuje, zapomniał natomiast o takich jak "Manifestacja Gliwicka", "Manifestiak" i "Zrąb". Skoro już jednak cytujemy "Wolny Czyn" - wypada odnotować polemikę "Redaktorki dyżurnej" z niżej podpisanym, czyli Lektorem, która ujęła się za Wiktorem Zingerem z tegoż pisma. Lektorowi nie podobał się jego tekst o intelektualistach, natomiast "Redaktorka dyżurnej" wadliwie - jej zdaniem - odczytanie tekstu, no i rzecz prosta - zgryźliwe uwagi, na które pozwolił sobie w związku z tym Lektor. Otóż nadal stoję na stanowisku, aby nie wprowadzać w nasze "opozycyjne" życie bezsensownych podziaków. Niech robi to - skoro robić musi - Jerzy Urban itp. dyspozycyjni recenzenci. Jeśli jednak "Wolny Czyn" jest innego zdania - Bóg z nim. A użyte przeze mnie słowo "męcić", to coś więcej niż "mącić". Ten artykuł był po prostu mętawy. Czy to jaśniej?

LEKTOR

NAGRODY

śląsko-dąbrowskiego Komitetu Kultury Niezależnej

Śląsko-dąbrowski Komitet Kultury Niezależnej przyznał po raz pierwszy NAGRODY ZA ROK 1987 twórcom i działaczom kultury naszego regionu.

NAGRODĘ ROKU - za popularyzację kultury plastycznej na Śląsku, przede wszystkim zaś za głębokie zaangażowanie w sprawy i problemy lokalnego środowiska artystycznego, czego dobitnym przykładem jest powołanie i działalność Galerii Fra Angelico - Dyrektor Muzeum Diecezjalnego w Katowicach, Ks. Dr JERZY WYSZOR.

NAGRODY ROKU - ex aequo: TADEUSZ CZOBER - za najlepszą wystawę grafiki i rysunku i KAZIMIERZ CIESLIK - za najlepszą wystawę malarstwa.

NAGRODĘ ROKU - za wyróżniający się debiut - ZDZISŁAW WIATR.

Jury, złożone z wybitnych twórców, reprezentujących wszystkie dyscypliny plastyczne, oceniając działalność na polu kultury niezależnej i dzieła twórców środowiska artystycznego Śląska i Zagłębia, brało pod uwagę również postawę ideowo-moralną i zaangażowanie społeczne, sprawiające, iż - mimo istniejących w kraju ograniczeń i szkodliwych podziałów - ocalone zostały autentyczne wartości oraz trwanie i rozwój kultury w regionie.

Nagrodzonym serdecznie gratulujemy!

Śląsko-dąbrowski
Komitet Kultury Niezależnej

"POLSKA REWOLUCJA - SOLIDARNOSĆ"

W Londynie - nakładem Polonia Book Fund Ltd - ukazała się kolejna książka poświęcona "Solidarności". Jest to przekład angielskiego historyka, który spędził sporo miesięcy 1980-1981 r. w Polsce i był świadkiem tego, co nazywał "polską rewolucją".

"Polska rewolucja - Solidarność" Timothy Garton Asha to dzieło niezwykle. Niezwykłe przede wszystkim ze względu na znakomitą znajomość nie tylko faktów, lecz również polskich realiów, polskiej mentalności, polskiego ducha. Niezwykłe - również ze względu na rzetelność, z jaką opisuje i ocenia ten wielki ruch społeczny i narodowy, który śledził i w który się zanurzył poczynawszy od 13 sierpnia 1980, kiedy wylądował na Okęciu, a następnie w Gdańsku, by być tu i patrzeć na to, co - mówiąc słowami Bronisława Giermka - "niemożliwe" stało się "możliwe", a nawet "konieczne".

"Polska rewolucja", a zarazem "rewolucja ducha", albo - jak z kolei powiedział Andrzej Gwiazda - "Ruch rewolucji moralnej", jaki nie zdarzył się nigdy i nigdzie, a przecież właśnie tu - w Polsce, kraju zniewolonym od przeszło 40 lat - objawił się i trwał przez 16 miesięcy. Robotnicy odzyskali "prywatną własność swojego języka", a 36-milionowy naród nadzieję i poczucie celu. Bo "Solidarność" - to właśnie ten ruch i ta rewolucja i ten cel, dla którego warto było żyć.

Znaczna część książki Asha poświęcona jest kronikarskiemu zapisowi najważniejszych wydarzeń, jest zapisem rozgrywającego się dramatu narodu, który od początku wydarzeń, a już szczególnie od podpisania "porozumień społecznych", miał głębokie poczucie, że chodzi nie tylko o chleb i lepsze warunki pracy, lecz przede wszystkim o wolność, prawdę, sprawiedliwość. I o godność. Dlatego był taki cierpliwy, wytrwały i konsekwentny w działaniu - aż do końca. A mając poczucie realizmu, a zarazem granic "możliwego niemożliwego", sam siebie ograniczał i kontrolował.

Ash bardzo wysoko ocenia dojrzałość polityczną i społeczną polskiego społeczeństwa. I jego charakter. I jego morale. Przytacza fakty na potwierdzenie tych polskich cnót i wartości. Mimo wielkiego napięcia, mimo walki z władzą, która ani na chwilę nie dawała mu wytchnąć, w ciągu tych miesięcy nie zginął ani jeden człowiek. Ta rewolucja nikogo nie zamordowała, a spożycie alkoholu - co niechętnie przyznać musiała nawet władza - spadło z 8,4 l spirytusu na głowę w 1980 do 6,4 l w 1981 roku. I do końca - aż do 13 grudnia - naród, mimo potwornego zmęczenia, nie zwątpił w słuszność swoich dążeń.

"Solidarność" nie rozpadła się - jak myśleli komunistyczni władcy PRL. W tej sytuacji narzucony system nie mógł już dłużej istnieć bez jawnej przemocy. Stan wojenny był więc naturalnym zakończeniem tego "niemożliwego", a jednak "koniecznego". "Niemożliwego" w bloku podbitych przez Moskwę krajów, a "koniecznego" - bo przecież nie mogło być zgody na zło i niewolę.

W relacji zdarzeń i wypadków niewiele jest oczywiście faktów nieznanymi. Sporo jednak szczegółów mało znanych lub znanych tylko osobom z najbliższego kręgu działaczy na samej górze. Np. "kulturowe" rozmowy i mechanizmy podejmowania niektórych decyzji, ich uwarunkowań, a także nacisków z różnych stron, którym podlegali przywódcy "Solidarności". Najciekawsze - moim zdaniem - są jednak refleksje autora zawarte w części II książki, ukazujące "Solidarność" z różnych stron widzenia: stosunek do tego ruchu-rewolucji "lewicy" i "prawicy" na Zachodzie, zachodnie oceny po ogłoszeniu stanu wojennego, wreszcie - pytanie: czy "Solidarność" posunęła się za daleko czy może okazała się zbyt mało dynamiczna w sytuacji gdy władza znalazła się w rozkładzie, a w dodatku obnażyła jako moralny i polityczny trup?

Ash nie odpowiada na te pytania wprost. "Solidarność" nie zmierzała przecież do przejęcia władzy, a jej cele były od samego początku czyste i wyraźne. Nie do niej należały rozstrzygnięcia ostateczne - biorąc pod uwagę geopolityczne uwarunkowania i realistyczną groźbę interwencji, która z pewnością by nastąpiła, bo to, co się w Polsce zdarzyło, nie mogło być przez Moskwę przyjęte. "Solidarność" to był program lepszego rozwiązania życia - przy pełnym pozostaw-

niu zasad socjalizmu. Stąd też wielkie i moralne i polityczne znaczenie "polskiej rewolucji". I mimo przegranej - to było i jest zwycięstwo. Polacy tego co przeżyli nie zapomnieli i nie zapomną. I przekażą innym.

"Oni nie zapomną, tak jak zapomni świat i jak radziecy mistrzowie niepamięci chcieliby, żebyśmy zapomnieli. Ale właśnie dlatego, że oni nie zapomną, na pewno wcześniej czy później nadejdzie dzień, kiedy - tak my, jak i mistrzowie niepamięci - będziemy musieli sobie przypomniać, że Polacy wciąż niecierpliwie czekają na wolność. I jak hejnał mariacki na krakowski Rynek, tak głos Polaków raz jeszcze popłynie na cały świat".

To końcowe słowa książki Asha. Ale myślę, że koniecznie trzeba udostępnić wszystkie jej słowa krajowym czytelnikom. "Polska rewolucja - Solidarność" powinna być wydana w kraju jak najprędzej.

SAMUEL WOLSKI

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Literatura polska: Ernest Bryll: "Gołąb pocztowy" - wiersze, Warszawa 1987, Oficyna Wydawnicza "Pokolenie", s. 52, c - 185 • Sławomir Mrozek: "Vatziav" i "Ambasador" - sztuki sceniczne, Wydawnictwo "Panaceum" / przedruk z wydania Instytutu Literackiego, Paryż 1982/, s. 124, c - 340 • Edgar Wiernicki: "Stowo o żołnierzu, który nie zabijał", Warszawa 1987, Ruch "Wolność i Pokój", s. 18, c - 80 • Igor Newerly: "Zostało z uczty bogów", Warszawa 1987, NOW-a, s. 224, c - 750 • Tadeusz Żenczykowski: "Generał Grot u kresu walki", Miedzyszakładowa Struktura Wydawnicza 1987 / przedruk z: Polonia Book Fund Ltd/, s. 158, c - 500 • Andrzej Krajewski: "Cicero", "Polska 1982-1985 w oczach korespondentów zachodnich", Warszawa 1987, Wydawnictwo "Most", s. 260, c - 900 • Jacek Bocheński: "Stan po zapadzi", Warszawa 1987, NOW-a, s. 108, c - 400 • Wiesława Kwasińska: "Grudzień '70 w Gdyni", Warszawa 1987, Wydawnictwo "Pokolenie", Archiwum "Solidarności" tom 11, seria: Relacje i opracowania, s. 101, c - 350 • Kazimierz J. Węgrzyn: "Czarne kwiaty" - wiersze, Oficyna Śląska 1987, s. 32, c - 150 • Komisja Krajowa NSZZ "Solidarność" - Posiedzenie w dniach 22-23.X.1981, Warszawa 1987, "Przedświt", Archiwum "Solidarności" tom 9, seria: Dokumenty, s. 225, c - 1000 • Marek Nowakowski: "Portret artysty z czasu dojrzałości", Warszawa 1987, NOW-a, s. 92, c - 390 • Marek Łatyński: "Wariacje na temat Jerozolimskiego", Warszawa 1987, NOW-a, s. 50, c - 200 •

Przekłady: Aleksander Sołżenicyn: "Oddziały chorych na raka", przeł. z ros. Józef Łobodowski, Oficyna Wydawnicza "Marginesy" 1987 / przedruk z wydania Instytutu Literackiego, Paryż 1973/, s. 480, c - 1050 • George Orwell: "Esaje", przeł. Anna Husaruka, Wydawnictwo "Panaceum" / przedruk z: Puls Publications/, s. 224, c - 850 • Jiri Lederer: "Czienie rozmowy", przełożyli: Adam Hajeki i Kalina Śniegocka, Wydawnictwo "Przedświt" 1987, s. 180, c - 800 • Artur London: "Byłem członkiem bandy Śląskiego", z jęz. czeskiego przeł. Sławomir Klimaszewski, Warszawa 1987, B-ka "Krytyka", s. 166, c - 670 • Bill Lomax: "Węgry 1956", Warszawa 1986, Wydawnictwo CDN, s. 152, c - 520 •

CZASOPISMA: "Arka" nr 17, Kraków 1987, s. 140, c - 550 • "21" nr 4, lato 1987, Oficyna Wydawnicza "Rytm", s. 144, c - 550 • "21" nr 5, jesień 1987, s. 129, c - 520 • "Przegląd Polityczny" nr 9, Gdańsk 1987, Wydawnictwo "Litera", s. 200, c - 600 • "Przekaz" nr 1 - kwiecień 1987, Wydawnictwo Gdańskie, s. 117, c - 300 • "Kultura", Paryż, lipiec-sierpień 1987 / wydanie krajowe - Wydawnictwo "Myśl"/, s. 224, c - 900 • "Dodruk" nr 1, styczeń 1987, Oficyna Wydawnicza "Pokolenie", s. 84, c - 300 • "Kultura Niezależna" nr 32, Warszawa, lipiec 1987, Wydawnictwo "Most", s. 120, c - 300 • "Most" nr 14-15, Warszawa 1987, s. 184 + wkładka zdjęciowa, c - 700 • "Vacat" 45, Warszawa 1987, NOW-a, s. 70, c - 250 • "Krytyka" nr 23-24, Warszawa 1987, NOW-a, s. 306, c - 950 • "Krytyka" nr 25, Warszawa 1987, s. 240, c - 870 • "Kontakt" nr 7/8, Paryż, lipiec-sierpień 1987, s. 222 • "Aneks" nr 44, Warszawa 1987, "Kraç", s. 152, c - 330 •

NARKOTYKI - ŚCIEŻKA SOWIECKA

"Wszystkie chwytły dozwolona" - oto podstawowa zasada Kremla, zmierzająca do podboju świata. Przygody komunistyczni ZSRR stosują ją od samego początku, a więc - od 70 lat. I - jak dotąd - osiągnęły sukcesy.

Do arsenału środków, którymi się posługują, prócz atomowego straszaka, doszły również takie, których celem jest rozbrojenie moralne społeczeństwa zachodniego, osłabienie ich woli obrony wolności i poczucia ludzkiej solidarności. A więc - m.in. narkotyki.

Zwrócił na to uwagę Brian Crozier, publikując w tygodniku francuskim "L'Express" artykuł "Narkotyki - ścieżka sowiecka". A oto niektóre myśli autora, które tu przytaczamy za "Głosem Śląsko-Dąbrowskim" (nr 4'87)...

Od dawna przypuszczaliśmy - pisze Brian Crozier - że narkotyki stały się bronią w wojnie politycznej, jaką ZSRR prowadzi przeciwko Zachodowi. Jak wiadomo, Lenin zapowiedział w 1919 r. swój wielki plan: światowa rewolucja wszelkimi środkami. Od 70 lat świat się zmienił, ale cel Moskwy pozostał ten sam.

Istnieją dowody na to, że narkotyki zostały włączone do sowieckiej strategii. Nie ogranicza się ona bynajmniej tylko do czerpania korzyści finansowych z handlu narkotykami. Ten handel stał się jedną z ważniejszych broni w służbie politycznych celów Kremla.

"Nie twórzmy - pisze Brian Crozier - że ZSRR ma monopol na narkotyki, ani nawet, że dominuje w handlu nimi. Dochód, jaki uzyskuje z tego jest względnie skromny w porównaniu z tym, co zarabiają wielkie syndykaty zbrodni i mafie amerykańska i amerykańska, półwielkie korsykańskie i marokańskie, Camorra neapolitańska, gangi chińskie i kolumbijskie. Ważnym jednakże jest fakt stanowczego i systematycznego używania narkotyków do podminowania, do rozkładu społeczeństw zachodnich".

Dalej autor stwierdza że...

- Już w czasie wojny koreańskiej w latach 1950-53 komuniści chińscy zaczęli rozprowadzać narkotyki wśród żołnierzy armii amerykańskiej i wojsk ONZ.
- Po stwierdzeniu sukcesu tej nowej broni, ZSRR zdecydował się wykorzystać ją na skalę strategiczną przeciwko Zachodowi.
- Decyzja została powzięta przez Nikitę Chruszczowa w 1962 r. Potwierdził ją Leonid Breżniew w 1967 r.
- W 1962 r. rolę pierwszoplanową w tej dziedzinie wyznaczono Kubie, a w 1967 - Bułgarii.

Nie na to było niedocenione. Dano o tym potwierdzili znani uciekinierzy z krajów socjalistycznych, m.in. gen. Jan Szejna - były sekretarz Komitetu Obrony CGS. ZSRR zaczął rozprowadzać narkotyki już w 1960 r. Ale od 1962 przetrwały tego "towaru" na Zachód przyjęły ogromne rozmiary. Chruszczow stworzył cały program strategiczny. Przedstawił go na tajnej naradzie przedstawicieli władzy warszawskiego, w Moskwie, na której był obecny gen. Szejna. Strategię wymyślił jednak Mao Tse - tung. To on doradził do wniosku, że narkotyki są znacznie lepszą bronią niż pociski nuklearne. W dodatku mają tę zaletę, że trudno ustalić skalę ich użycia i kto decyduje o ich rozprowadzaniu. Głównym celem były początkowo USA i Japonia. ZSRR rozszerzył obszar "oddziaływania" o Francję, Kanadę i WGR. Tajemnicę programu była absolutna. Używano go nawet przed Chinami. W razie wypadku ich niano uczynić sprzymierzeńcami.

Rozpoczęto produkcję narkotyków na wielką skalę, zorganizowano drogi przerzutów. Potężną główną rolę powierzono Fidelowi Castro. Podobno zgłoszone to tak, że nie orientował się on kto za tym stoi. Były mu potrzebne pieniądze na cele militarne. Zwrócił się w tej sprawie do Czechów, a oni - na zlecenie Moskwy - sprytnie mu podsunęli sposób ich zdobycia. Pomogli też Fidelowi w uruchomieniu produkcji i organizacji przerzutów do Ameryki przez Meksyk i Kanadę. Ale gdy KGB przejęło kontrolę nad tajną policją kubańską - proceder zaczął być całkowicie przez Moskwę sterowany. Opracowano też stronę propagandową tej akcji.

Relacje gen. Szejny w USA przyjęte zostały przez służby amerykańskie z niedowierzaniem. Potwierdził je jednak w 1971 r. płk Stefan Swierdłow, z bułgarskiej

służby bezpieczeństwa - przedstawiając niezbitą dowody. A był jednym z dobrze wtajemniczonych w sprawę. W 1967 r. z polecenia Moskwy rolę Kuby w tej strategii przejął bowiem Bułgaria. Utworzono tzw. "nisi bułgarskie", utworzono też specjalne przedsiębiorstwo importowo-eksportowe "EINTEK", które zajęło się masowym przetrzutowaniem narkotyków na Zachód. Dostarczało ono "towaru" mafiom i handlarzom narkotyków w zachodniej Europie i Ameryce, głównie jednak gangsterom tureckim, którzy ekspedowali go dalej - sobie tylko znanymi kanałami. Z tymi gangami związany był m.in. Ali Ağca, któremu polecono zabić Papieża.

W 1983 r. stwierdzono nieochylnie udział Bułgarii w handlu bronią i narkotykami. Tajne służby bułgarskie miały stałą łączność z włoskimi Czerwonymi Brygadami, mafią i Camorzą. Ujawnienie tego jednak sprawiło, że Moskwa wstrzymała operację. Nagle i broń i narkotyki przestały docierać obfitym strumieniem na Zachód. Czerwone Brygady, które miały w strategii sowieckiej również odegrać rolę wewnętrznego "rozkładacza", zostały spisane na straty.

Alle z programu strategicznego nie zrezygnowano. Tyle że centrum produkcji i przetrzutowania narkotyków znów wróciło do Kuby. Wojna więc trwa. Kubańskie wytwórnie znów produkują heroinę i marihuana - i to na wielką skalę. Codziennie do brzegów tego państwa podpływają małe statki, które zabierają narkotyczny ładunek, przetrzucając go do Kolumbii, Meksyku i innych krajów latynoskich, z których wędrują dalej na północ i do Europy zachodniej. Udowodniono, że Kubańczycy przetrzucili dotychczas 1 mln kg marihuany, 2,5 tabletek metagualonu i ok. 50 kg kokainy. A ile przetrzucili naprawdę?

Alle ostatnio coś się w tej strategii sowieckiej zalamuje. Do oto - wbrew przewidywaniom dotychczas zasadzie nie brania przez ZSRR bezpośredniego udziału w tym procederze - policja holenderska zajęła na statku radzieckim w Rotterdamie, 200 kg heroiny, wartości 20 mln dolarów, ujawniając fakt, że i statki Kraju Rad zajmują się również przetrzutowaniem narkotyków. Jak stwierdzono heroina pochodziła z Afganistanu, a statek załadowany był w... Rydze.

Czy chodziło tu o kolejną zmianę centrum produkcji i rozprowadzania, czy po prostu - zwyczajny błąd? W każdym razie, narkotyków nie ubywa, a wojna jak trwa i tak trwa.

KILKA RAD DLA PRZESŁUCHIWANYCH

Uśpiono nas trochę. W radiu i tv - same kołysanki. Mówi się i pisze o... demokratyzacji, liberalizacji, "pogłębionej" reformie, a nawet o samorządach na szczeblu gmin. Słowem - głośność i pierestrojka made in Poland na 102. Mniej też aresztowań, rewizji, rozmów ostrzegawczych. Nawet kolegia nie nakładają kontrybucji za to, że się żyje. Nie bądźmy jednak dziećmi: SB czuwa. Stąd - choć może wyda się to nie a propos - zamieszczamy kilka rad dla przesłuchiwanych. My też powinniśmy być czujni! A więc...

GDY JESTEŚ ŚWIADKIEM

1. Masz prawo odmówić odpowiedzi na każde kolejne pytanie powołując się na art. 166 Kodeksu Postępowania Karnego zezwalający na to w przypadku, gdy odpowiedź mogłaby narazić na odpowiedzialność karną Ciebie lub osobę najbliższą.

2. Masz co prawda formalny obowiązek udzielenia wyjaśnień, a ukrywanie i fałszowanie informacji jest karalne. Praktycznie oznacza to jednak tylko tyle, że nie wolno Ci odmówić "blokiem" - nie wolno powiedzieć, że w ogóle nie będziesz odpowiadał na żadne pytanie.

Możesz - i to bez specjalnego udawania - grać rolę przestraszonego: "Panie, słyszałem takie historie o przesłuchaniach, że boję się cokolwiek powiedzieć, bo mogę sobie zaszkodzić".

Pamiętaj, że o tym, co może Ci zaszkodzić i kto jest dla Ciebie osobą najbliższą, rozstrzygniesz Ty sam i nie musisz tego uzasadniać.

3. Masz prawo niczego nie pamiętać, nawet gdyby było to zupełnie niewiarygodne.

4. Nie warto kłamać, oni zostają z protokołem lub nagraniem kasetą. W kłamstwach pogubisz się prędzej czy później.

4. Nie próbuj też podawać mnóstwa autentycznych szczegółów po to, żeby zapewnić sobie czy komuś alibi. Mogą je wykorzystać w następnych przesłuchaniach, żeby stworzyć wrażenie, że wszystko wiesz, albo przekonać innych, że sypiesz.

5. Nie, zeznawaj bez protokołu, przeczytaj go uważnie, żądaj poprawek, jeśli coś się nie zgadza. Po jego podpisaniu nie wdawaj się już w żadne rozmowy.

GDY JESTEŚ PODEJRZANYM

1. Masz prawo w ogóle odmówić zeznań i to jest zwykle najlepszy pomysł.

2. Masz też prawo kłamać, co może być czasem uzasadnione dobrem innych lub Twoim własnym. Ale - jak wspominaliśmy - jest to ryzykowne.

3. Jeśli się zdecydujesz coś powiedzieć, nie spiesz się. Możesz złożyć wyjaśnienie później, po konsultacji z adwokatem, nawet na sali sądowej. Masz prawo do trzech obrońców, chociaż mogą Ci pozwolić na kontakt z nimi dopiero wtedy, kiedy zgodnie z przepisami muszą, to jest po zamknięciu śledztwa. Wtedy będzie czas na ustalenie strategii obrony.

4. Nie próbuj przechytrzyć śledczego, nawet jeśli wydaje Ci się głupi. I tak Ci się to nie uda - on ma za sobą całą machinę.

5. Nie wierz temu, że ktoś Cię sypnął. Nie wierz temu, że pogrążając innych poprawisz swoją własną sytuację.

6. Nie wpadaj w panikę, kiedy przedstawia Ci dowody rzeczowe. Muszą jeszcze wykazać, że właśnie Ciebie one obciążają (zidentyfikowanie zdjęć, ekspertyza nagrań głosu itp.).

7. Przyznanie się i złożenie wyjaśnień zwykle wydłuża, a nie skraca czas aresztu (choć stosują też przetrzymywanie milczących). Człowiek, który zaczyna mówić, będzie musiał wielokrotnie powtarzać swoje wyjaśnienia stale je rozwijając.

8. Przyznanie się do winy może czasem złagodzić wymiar kary, ale konsekwentne nieprzyznawanie się daje szansę, że śledztwo zostanie umorzone lub kwalifikacja czynu zmieniona na łagodniejszą.

9. W razie aresztowania staniesz przed trudną próbą izolacji. Mogą Ci zablokować korespondencję, udzielać kłamliwych informacji o rodzinie itp. Nie pozwól sobie na myślenie: "byle tylko wyjść na wolność". Pamiętaj, że na wolności będziesz musiał żyć z przyjaciółmi, sąsiadami i z samym sobą.

10. Uważaj na to, co mówisz w celi. Mogą posadzić z Tobą konfidenta, który będzie się Tobą opiekował i pomagał Ci w życiu aresztanta... Poza tym nie zapominaj o możliwości podsłuchu.

NIE DAJ SIĘ IM NABRAĆ

Jeżeli jesteś przesłuchiwany - czy to w roli świadka, czy podejrzanego - będą wobec Ciebie stosować cały arsenał środków. Będą próbować przekonać Cię:

- że wiesz wszystko. Tymczasem zwykle wiesz znacznie mniej niż Ci się wydaje. Często brakuje im tych najważniejszych elementów lub jedynie się ich domyślają, albo dysponują informacjami, których nie zechcą używać na sprawie np. żeby nie spalić konfidenta. W takiej sytuacji dopiero Twoje zeznanie może być użyte jako dowód;

- że są inteligentni. W rzeczywistości stosują zwykle stereotypowy zestaw technik. Przesłuchujący może Ci np. zarzucić popełnienie groźnego przestępstwa, żeby wywołać reakcję obronną ("Ja nic nie wiem o ukrywaniu broni, ja tylko...");

- że są sympatyczni i chcą Ci pomóc. Tego chyba nie trzeba komentować.

Mogą stosować różne typy przesłuchań: przesłuchanie-dyktando, przesłuchanie-rozmowę, przesłuchanie-pouczenie moralne. Mogą grozić, szantażować, straszyć a nawet bić. Wszystko to potwierdza jedynie ich bezsilność wobec Twojego milczenia, jeśli uda Ci się je zachować.

Każdy ma własne recepty na trudne życiowe sytuacje. Nie udawaj przed samym sobą - przyznaj się do swego strachu czy zmęczenia. Ale mu się nie poddawaj. Nie trać zwykłego rozsądku, ta sytuacja - choć tak trudna - minie i lepiej się w niej zachować mądrze niż głupio.

K R Ó T K O

• Spada przyrost naturalny w Polsce: z 11,6 na 1000 mieszkańców w 1950 r. do 7,5 w 1985. Rośnie śmiertelność. Wskaźnik zgonów zwiększył się z 7,6 na 1000 mieszkańców w 1960 r. do 10,2 w 1985. Przeciętna życia mężczyzn wynosi zaledwie 66,5 i należy do najniższych w Europie. Wysoka jest nadal śmiertelność niemowląt: 18,4 na 1000 żywych urodzeń w 1985, podczas gdy przeciętna dla Europy Zachodniej wynosi 10.

• Według oficjalnych danych, w 1985 r. dokonano w Polsce 131 tys. "zabiegów" przerwania ciąży. Ale - jak stwierdzono na zjeździe ginekologów we Wrocławiu - faktycznie wykonuje się ich rocznie 650 tys., a i ta liczba jest raczej zaniżona. Kobiety nie chcą rodzić dzieci.

• Rośnie ilość rozwodów: z 34,6 tys. w 1970 r. do 49,1 tys. w 1985. Nadal jesteśmy w czołówce światowej jeśli chodzi o picie alkoholu i palenie papierosów. Pije stale 5 mln osób, w tym 1 mln nałogowo. W 1985 r. na alkohol wydano w Polsce 733,3 mld zł /nie licząc zakupów za dolary w "Pewexie"/.

• Średnie zarobki w gospodarce społecznej w Polsce wynosiły w 1986 r. 24.095 zł. Najniższe były w służbie zdrowia /18 tys. zł/ i oświacie /19 tys. zł/, najwyższe - w górnictwie: 52,3 tys. zł, w tym na stanowiskach nierobotniczych - 63,4 tys. Przypuszcza się, że płace realne w 1987 r. wyniosły 81,5 proc. płac realnych z 1981. O roku 1988 na razie nie mówmy.

• Rozszerzyła się strefa niedostatku. W 1980 r. w strefie tej znajdowało się ok. 20 proc. ludności, w 1982 - już ok. 30. Niedostatek cierpią przede wszystkim "weterani pracy" /stanowią oni 41 proc. wszystkich żyjących w niedostatku/. Przewiduje się, że w najbliższych latach strefa niedostatku jeszcze bardziej się poszerzy i obejmie co najmniej 50 proc. całej ludności kraju.

• Ilość oddawanych w Polsce do użytku mieszkań systematycznie maleje. W 1978 r. zbudowano 286,6 tys. mieszkań, w 1986 - 185,7 tys., a w ubiegłym roku planowano przekazanie społeczeństwu 135-140 tys. mieszkań, ale szanse wykonania tego zadania były słabe. Wydłuża się czas czekania na własne - choćby najmniejsze - lokum /obecnie wynosi on już 12-17 lat/, tym bardziej że jednocześnie rosną koszty budownictwa, a tym samym koszty mieszkań. Wielu młodych małżeństw już po prostu nie stać na ubieranie koniecznego wkładu.

• W 1986 r. profesor nadzwyczajny w Polsce zarabiał 36,2 tys. zł miesięcznie, zaś nadzyszygar - 74,3 tys. Pensja docenta była pensji motorniczego tramwaju /32,2 tys. zł/, a adiunkta /19 tys. zł/ - pensji pokojówki w hotelu. Portier zarabiał lepiej /17,9 tys. zł/ niż pielęgniarka lub położna /16,1 tys. zł/. Ile zarabiają milicjanci i funkcjonariusze SB - prasa oficjalna milczy.

• W końcu 1986 r. zadłużenie Polski wynosiło 33,5 mld dolarów i 6,5 mld rubli transferowych. Zadłużenie w krajach kapitalistycznych odpowiadało w przybliżeniu 40 proc. dochodu narodowego i 5-krotnemu wpływowi dewiz z eksportu do II obszaru płatniczego. W latach 1971-1985 władze PRL pożyczyły ogółem 46,9 mld dolarów, z czego tylko w latach 1971-1981 - 44,4 mld. Mimo że zapłaciły do końca 1985 r. z tytułu rat i odsetek 40 mld dolarów - nadal pozostało do spłaty 33,5 mld. Nie jesteśmy bowiem w stanie spłacać już nawet odsetek, których wysokość osiągnęła już poziom 2 mld dolarów rocznie, podczas gdy nadwyżka polskiego eksportu nad importem do krajów kapitalistycznych wynosi zaledwie 1 mld. Drugi rosną więc automatycznie. W tym roku - jak się przewiduje - osiągną 40 mld dolarów. W tej sytuacji "socjalistyczną Polskę" uratować może tylko... cud.

• Tymczasem trwa proces podporządkowywania polskiej gospodarki nie tylko interesom RWPG, lecz przede wszystkim ZSRR. Do końca 1995 r. ma powstać 400-500 polsko-radzieckich "spółek", które - wykorzystując polskie maszyny i urządzenia oraz najtańszą na świecie siłę roboczą - produkować będą towary przeznaczone na rynek radziecki. Jednym z takich przedsiębiorstw została już Huta "Katowice". W toku jest przejmowanie pod bezpośredni zarząd radziecki firm kosmetycznych oraz zakładów radiowo-telewizyjnych. A myśli się również o spółkach polsko-czeskich i polsko-NRD-owskich.

"VIDEO - 3"

Jedyna na Śląsku i w Zagłębiu videoteka SOLIDARNOSCI.
Powstała ze środków społecznych z myślą o Was i dla Was.
"Video - 3" proponuje programy:

- Dwa filmy z ostatniej pielgrzymki Papieża do Polski: "TRZECIA PIELGRZYMKA OJCA ŚWIĘTEGO DO OJCZYZNY" Wojciecha Sarnowicza i "O NAS I ZA NAS" /Papież w Trójmieście/ Mariana Terleckiego.
- Dwa filmy o ks. Jerzym Popiełusze: "KSIĄDZ JERZY" - dokumentalno-fabularny zapis procesu toruńskiego, zrealizowany na zamówienie BBC i relacje o ks. Jerzym jego najbliższych i przyjaciół oraz "POGRZEB KS. JERZEJO" /realizacja zbiorowa/.
- Wstrząsający reportaż o uprowadzonych przez "nieznanych sprawców" działaczy "Solidarności" z Torunia - dokument pt. "FORWANIE", zrealizowany przez Mariana Terleckiego /Gdańsk 1985/.
- Dwa filmy Kisiela i o Kisielu "KISIEL" Mariana Terleckiego i "ALFABET KISIELA" Stefana Kisielewskiego i Mariana Terleckiego /Gdańsk 1987/.
- Film Allana Pakuli "WYBÓR ZOPII" - opowiadający o dramatycznych przeżyciach wojennych Polki, która po wojnie znalazła się w Stanach Zjednoczonych.
- "MOSKWA NAD RZECĄ HUDSON", "Magazyn nr 1 Video-NOW-ej" oraz rozmowa z ks. prof. Józefem Tischnerem. "Moskwa" jest filmem Paula Mazurskiego, opowiadającym o perypetiach rosyjskiego muzyka cyrkowego, który w czasie tournée po Ameryce postanowił pozostać w tym kraju. Z kolei "Magazyn" to pierwsza próba zaprezentowania przez polskich dziennikarzy prawdy o naszym życiu "tu i teraz". Ks. Tischnera reklamować nie trzeba.
- "POLWARK ZWIERZĘCY" - angielski film animowany, zrealizowany wg słynnej noweli George'a Orwell'a przez Johna Halasa i Joyn Batchelora. Rzecz o totalitarnej władzy, która doprowadza do buntu poddanych. Jak pozbyć się wielkiej świnii - oto nauka, która może się przydać i nam. Kasetę zawiera również kolejny - drugi już - "Magazyn Video-NOW-ej"; z Leszkiem Moczulskim i Zbigniewem Brzezińskim w rolach głównych oraz film dokumentalny Krzysztofa Langa pt. "Tronkie dobrze", ukazujący ONP i działalność "wychowawczą" aktywistów, podwładnych się z oddaniem musztrowaniu i indoktrynacji swych podwładnych.
- "PIOTR I INNI" - film Andrzeja Wajdy, zrealizowany w RFN na wątkach i motywach słynnej powieści Michaiła Bułhakowa "Mistrz i Małgorzata". Kasetę zawiera ponadto zapis pielgrzymki do Częstochowy pt. "Tajemnica wędrownia", zrealizowany przez Michała Bukojemskiego.
- "WIECZÓR Z JACKIEM FEDEROWICZEM" - znanym powszechnie "Panem Kierownikiem", który parodiuje "Dziennik TV", a zarazem chwytły i metody stosowane przez partyjną propagandę.
- "II WIECZÓR Z JACKIEM FEDEROWICZEM", czyli ciąg dalszy zabawy, gwarantujący doskonały relaks, a zarazem pożyteczną naukę o tym, jak TVP usiłuje nas wszytkich ogłupić.
- I wreszcie - spektakl Teatru Ósmego Dnia wg poezji Osipa Mandelstama - pt. "WZIÓT" /scenariusz i reżyseria - Lech Raczak, realizacja filmowa - Marian Terlecki/.

"Video - 3" dysponuje ponadto filmami: o "Wychodzenie z lodu" o "Przebaczenie" o "Róby swoje" i "Wieczór liryczny" Wojciecha Młynarskiego o "Pieśni Mariana Hemara" - przypomniane przez Wojciecha Młynarskiego /w TVP oglądaliśmy tylko fragmenty/ o "Jezus Chrystus Super Star" o "Możesz" o "Ben Hur" o "Jan Pietrzak" o "Video-Kontakt" nr 6 i 7 o oraz wywiady z ks. Franciszkiem Blachnickim i Aleksandrem Sołżenicynem /oczywiście, w wersji polskiej/.

Przypominamy:

"Video - 3" powstało z myślą o Was i dla Was. Z myślą o Was nadal uszpełniać będziemy nasz rentaw, tworząc niezależną videotekę Śląska i Zagłębia.

Zamówienia na wypożyczenie kaset prosimy kierować bądź przez kolporterów, bądź osoby zaufane. CZEKAMY!

MYSLI Janusza R. Kowalczyka

- Doświadczenie życiowe nabywamy z wiekiem. Szkoda tylko, że najczęściej jest to wieko trumny.
- Dawniej człowiek często gubił się w domysłach; obecnie nadmiar domysłów często gubi człowieka.
- Byłem cudowny sen. Cniło mi się, że była wolna sobota i nie musiałem iść do pracy. Niestety obudziłem się, a rozczarowanie moje nie miało granic. Okazało się bowiem, że była właśnie wolna sobota i właśnie byłem w pracy.
- Dylemat publicysty: Pisać, co pójdzie? Jakoś nie uchodzi. Pisać co uchodzi? Kiedy nie pójdzie...



I nas nie omijają skutki żywiołowego wzrostu cen. Począwszy od tego numeru - zwiększamy naprawdę objętość naszego dwumiesięcznika, ale i - niestety - cenę. Przepraszamy!

CENA - 200 zł